ROK XVII NR 35 (876) 29 SIERPNIA 1974 ROKU CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

ODGŁOSY

POMNIK DALEKI OD SZTAMPY — Jacek Indelak ► SPOTKANIA Z REYMONTEM I BARTKIEWICZEM — Kazimierz Paszkowski ► KULISY USTĄPIENIA JUNTY — Jerzy Czech ► LICZBY, FAKTY, WNIOSKI — Jan T. Janicki ► CO KRYJE ZIEMIA? — B. K. ► CIENIE W RAJU — Erich Maria Remarque ► ZDUŃSKA WOLA — Anna Rynkowska ► JEDEN MOCNY GOŚĆ I TO WSZYSTKO — Andrzej Grun ► GLOBTROTTER ► WIENIEC DOŻYNKOWY — Feliks Rajczak ► WSPOMNIENIA KARIN STANEK FELIETONY ► REPORTAŻE ► RECENZJE ► LISTY ► POLEMIKI

FELIKS BĄBOL

USTRONIE—GMINA NADMORSKA

CZYTAJ NA STR. 5

ANDRZEJ BLAJER

„ŹRÓDŁO Z"

To co zostało tu zaprezentowane, jest tak dalece fascynujące, iż może wydawać się wręcz nieprawdopodobne, miało jednak miejsce rzeczywiście.

Historia dotyczy jednego z największych sukcesów alianckiego wywiadu w okresie ostatniej wojny, tym cenniejszego dla nas, że kluczową rolę przy jego dojściu odegrał wywiad polski. Odtworzył ją po latach były oficer francuskiego wywiadu **Gustave Bertrand** w swojej książce: **„Enigma ou la plus grande enigme de la guerre 1939—1945"**, wydanej w Paryżu dwa lata temu.

„Jest to, być może, największa zagadka wszystkich czasów, a przynajmniej wszystkich wojen, bowiem takie źródło informacji o nieprzyjacielu, o takim zasięgu i takiej jakości nigdy przedtem nie zostało oddane do dyspozycji Naczelnego Dowództwa przez jego Oddział II (wywiad)".

Tak pisze o rozwiązanej zagadce „Enigmy", zwanej też „Źródłem Z" — niemieckiej maszyny do szyfrowania — generał Gustave Bertrand.

Jak do tego doszło i jaką rolę odegrał fakt odkrycia tej zagadki na dalszy przebieg wojny wywiadów.

* * *

W historii tej chodzi o wykrycie i zrekonstruowanie — po 8 latach badań i poszukiwań — maszyny do szyfrowania „Enigma", którą posługiwał się Wehrmacht. Pozwoliło to, dzięki przechwytywaniu komunikatów radiowych i ich rozszyfrowywaniu, dostarczyć tylko w latach 1939/1940 około 15 tysięcy depesz o charakterze operacyjnym dotyczących prawie wszystkich dziedzin prowadzonej wojny. Później alianci korzystali z tego nadal, lecz rezultaty pozostały tajemnicą, jeżeli nie liczyć enuncjacji na ten temat Winstona Churchilla oraz szefa Intelligence Service w okresie powojennym.

W całej tej sprawie, niewątpliwie unikalnej w dziejach służby wywiadowczej, chodziło o dość szczególną formę szpiegostwa, wymagającą techniki i dyplomacji w całym łańcuchu niepowszednich perypetii, za cenę 19 misji specjalnych (w Belgii, Danii, Szwajcarii i Czechosłowacji) na przemian z 23 kontaktami technicznymi (w Warszawie, Pradze, Londynie i krajach bałtyckich).

Ogólnie biorąc, zdobywanie informacji odbywa się w dwojaki sposób: za pośrednictwem agentów oraz drogą techniczną — za pośrednictwem przechwytywania wiadomości radiowych i telefonicznych łącznie z ich rozszyfrowywaniem. Bez względu na środki, jakie prowadzą do osiągnięcia celu, w tym technicznym sposobie zdobywania informacji kładzie się zazwyczaj maksymalny nacisk na sprawę rozszyfrowywania, jest to bowiem najlepsze

Dalszy ciąg na str. 4

ANDRZEJ MAKOWIECKI

MATKA PROFESORÓW

Przedwojenny Wieruszów zachował się w pamięci ludzi jako biedackie miasteczko o jednej tylko brukowanej drodze.

Żydzi mówili:

— Domy są nasze, a ulice wasze.

I tak było.

Przy brukowanej drodze stało trochę murowanych budynków, a przy innych drogach, gruntowych, wyboistych i czarnych jak wyrzut sumienia drzemały chałupy pod słomą. W budynkach, jeśli który wybijał się ponad parterową zabudowę, mieszkali starozakonni, a w chałupach rzemieślnicy i chłopi.

KONKURS NA REPORTAŻ O ZIEMI ŁÓDZKIEJ

III NAGRODA

Starozakonni chodzili w myckach i chałatach; mieli długie brody; w szabas ich twarze odznaczały się biblijną ekstazą, a w dni robocze przybierały wyraz kupieckiej czujności. W warsztatach i sklepikach trwały boje o każdą sztukę perkalu; na ulicznych targowiskach rozgrywały się sceny godne perskiego jarmarku.

W miasteczku, oprócz krawców, szewców, pogrzebników i piekarzy, urzędowali również rzeźnicy. Drewniany domek Piotra Parnowskiego, który miał siedem córek i małorolne gospodarstwo, otoczony był szczelnym kordonem jatek. Część z nich należała do starozakonnych, a część do Polaków. Starozakonni handlowali wołowiną, a Polacy mięsem wieprzowym z gospodarskiego uboju. Między stronami często dochodziło do rozdźwięków, ale któregoś dnia nadleciały niemieckie samoloty, grom uderzył z czystego nieba, jatki zaczęły płonąć i strony pogodziły się we wspólnym nieszczęściu.

Dom Parnowskich nie ucierpiał od tego pożaru. Ale zgryzota stała już za progiem. Najpierw zachorzała ciężko stara gospodyni, później ksiądz pochylił się nad łożem gospodarza, jeszcze później jedna z jego siedmiu córek: ta, co była na posługach w prywatnym sklepiku, spłonęła żywcem od nafty, którą pokropiła wilgotne drzewo w kamionce.

Inna córka Piotra Parnowskiego, żyjąca do dziś Stanisława Chącia, straciła u końca wojny cały dobytek. Było to w chwili, kiedy za horyzontem grała już radziecka artyleria, a rozbite oddziały niemieckie wycofywały się na Zachód. Już, już! myślała, że koszmar się skończy, ale hitlerowscy lotnicy urządzili miastu huczne pożegnanie. Bomba trafiła w oborę, w której były trzy świnie, koń i dwie uwiązane na łańcuchu krowy.

Po wyzwoleniu trzy czwarte Wieruszowa leżało w ruinach i zgliszczach. Spośród siedmiu tysięcy ludzi ostało się tylko dwa i pół. Co drugi człowiek nosił na ręku żałobę. Jeszcze przez wiele miesięcy dzieci z lękiem patrzyły w niebo nasłuchując warkotu silników. Jeszcze przez wiele lat miasteczko barowało się ze swoją tragiczną spuścizną.

2.

Nowa era Wieruszowa zaczęła się w roku pięćdziesiątym piątym, bo właśnie wtedy trzytysięczne miasteczko zostało stolicą powiatu utworzonego na rubieży województwa łódzkiego.

Nie można powiedzieć, aby na początku teren ten odznaczał się czymś szczególnym. Był to swoisty konglomerat ziem, z których część piastowała od wielu lat tradycje poznańskie, a druga część wciąż jeszcze nosiła na sobie piętno Kongresówki. Gleba tu i tam była licha, jeśli jednak chodzi o kulturę rolną, stan dróg i poziom gospodarstw, nie da się ukryć, że część „poznańska" miała nad resztą nowego powiatu zdecydowaną przewagę.

Była to okoliczność cenna. Chodziło o to, żeby wymieszać ludzi i zniwelować różnice. Trzydziestopięciotysięczny powiat, który miał wiele krańcowo zaniedbanych wiosek i osad, z trudem zaczął się cementować.

Podobnie było z samym Wieruszowem. Z chwilą, kiedy decyzją władz wyłączono z niego wszystkie tereny rolnicze, a włączono zabudowaną część leżącego za Prosną Podzamcza, terytorium miasteczka uległo wyraźnemu uszczupleniu, natomiast liczba mieszkańców wzrosła gwałtownie do pięciu tysięcy.

Dla ludzi nie było pracy. „Przemysł" Wieruszowa i powiatu wyznaczały w tym okresie drobne zakłady konfekcyjne, warsztaty obuwnicze, wytwórnia kozetek i tapczanów oraz pracownia gorsetów, mleczarnia i tartak. Dawało to w sumie dwieście miejsc roboczych miastu i czterysta powiatowi.

Dalszy ciąg na str. 6

KRONIKA PLASTYCZNA

Na VII Festiwalu Polskiego Malarstwa Współczesnego w Szczecinie nagrodę Publicystów Kulturalnych ufundowaną przez Szczecińskie Towarzystwo Kultury i Wojewódzką Radę Zw. Zaw. w Szczecinie otrzymał łódzki artysta Andrzej Gieraga.

A. Gieraga jest już po raz drugi laureatem Szczecińskiego Festiwalu; w 1972 roku otrzymał on na tejże imprezie nagrodę Pracowni Sztuk Plastycznych. VII Festiwal Polskiego Malarstwa Współczesnego w Szczecinie jest największą w br. prezentacją polskiego malarstwa współczesnego. Od 1962 roku na festiwale szczecińskie nadsyłane są dzieła twórców należących do wszystkich generacji, szkół i środowisk artystycznych.

W roku bieżącym na Festiwal w Szczecinie nadesłanych zostało ponad 1000 obrazów, z czego komisja kwalifikacyjna dopuściła do udziału w wystawie blisko 300 prac 177 autorów z całego kraju. Jak z tego wynika udział w Festiwalu stanowi specjalne wyróżnienie.

Na obecnym Festiwalu Grand Prix przypadło w udziale Marianowi Boguszowi z Warszawy. Poza Andrzejem Gierągą w imprezie wzięli udział następujący łodzianie: J. Bigoszewski, E. Habdas, R. Hałat, J. Hrycek, R. Hunger, L. Kunka, B. Liberski, P. Markowski, Z. Michalski, J. T. Mróz, R. Popow, A. Sadowski, T. Śliwiński, A. Szonert, T. M. Szumigaj, H. Tchórzewska, Z. Walter.

Ekspozycja zorganizowana została w Zamku Książąt Pomorskich w Szczecinie.

Andrzej Gieraga (urodz. w 1934) studiował i dyplom uzyskał w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Łodzi. Uprawia twórczość w dziedzinie malarstwa, rysunku, grafiki i tkaniny artystycznej. Wystawia od 1971 roku na wystawach okręgowych, ogólnopolskich i zagranicznych (Anglia, RFN, Węgry). Ma na swoim koncie trzy wystawy indywidualne (1970 — Galeria 77, Łódź; 1973 — Teatr Wielki, Łódź; 1974 — Klub PAX — Bydgoszcz). A. Gieraga otrzymał liczne nagrody i wyróżnienia, m. in. w 1972 roku nagrodę MKiS i MON w dziedzinie tkaniny artystycznej dla studentów, I nagrodę w X Okręgowym Konkursie na Grafikę i Rysunek w Łodzi. W 1973 roku — nagrodę specjalną PWRN w Łodzi na III Ogólnopolskim Konkursie na Grafikę; medal za zestaw obrazów na dorocznej wystawie Okręgu Łódzkiego ZPAP; medal i nagrodę dziennikarzy na IV Złotym Gronie w Zielonej Górze. W 1974 roku Gieraga otrzymał II nagrodę na Okręgowym Konkursie na Grafikę i Rysunek w Łodzi oraz medal za koncepcję i realizację oprawy plastycznej VI Łódzkiej Wiosny Artystycznej (wspólnie z Pawłem Markowskim).

Prace A. Gieragi znajdują się w Muzeum Narodowym w Szczecinie, w Muzeum Narodowym w Poznaniu, w Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze oraz w innych zbiorach państwowych i kolekcjach prywatnych.

Jerzy Krawczyk z cyklu: Wojna — „Niezapomniana" — metal spawany

Fot. Włodzimierz Parys

LICZBY, FAKTY, WNIOSKI

Opublikowany w tym miesiącu „Rocznik statystyczny 1974" stanowi nieocenione kompendium wiedzy o drodze, jaką przebyliśmy w ostatnim okresie, którą kroczymy w chwili obecnej i dokąd ona nas wiedzie. Zestawienia cyfr i tablice stanowią nie tylko bilans przeszłości, ale są również programem na lata najbliższe i zarysowują dalszą perspektywę.

Ambitny program zawarty w Uchwale VI Zjazdu Partii ukierunkował ściśle wszelką działalność gospodarczą i podporządkował ją dwóm generalnym zadaniom — zapewnienia wszystkim grupom społeczno-zawodowym doraźnej poprawy płac i świadczeń socjalnych, a jednocześnie szybkiego rozwoju i unowocześnienia naszego aparatu wytwórczego, co zagwarantowałoby podnoszenie dobrobytu w przyszłości.

Realizacja tych ogromnych i trudnych zadań możliwa była tylko przy zagwarantowaniu wysokiego wzrostu dochodu narodowego. W świetle przytoczonych cyfr nasz dochód narodowy w roku 1973 zwiększył się w stosunku do roku poprzedniego o 11,6 proc., a w całym trzyleciu 1971—1973 o około 33 proc. Jego średnioroczne tempo przyrostu zapewnia nam pod tym względem czołową pozycję w świecie. Uplasowaliśmy się na drugim miejscu w Europie. Podczas gdy u nas dochód narodowy wzrastał średnio w roku o 10 proc., a produkcja przemysłowa o 9,9 proc., to w Europie wskaźniki te wynoszą odpowiednio średnio — 5 i około 6,5 proc. A zatem rozwój nasz jest znacznie szybszy niż przeciętny na całym naszym kontynencie. Z krajów socjalistycznych wyprzedza nas tylko Rumunia, z średnim rocznym wzrostem 11,3 proc.

Zwiększyła się również podzielna część dochodu narodowego i w roku ubiegłym w stosunku do roku poprzedniego wyrażała się wzrostem w przeliczeniu na jednego mieszkańca 14,9 proc., z czego na spożycie przeznaczono 65,4, a na akumulację — 34,6 proc.

Dochody nominalne ludności osiągnęły w 1973 roku kwotę 742 mld zł, czyli wzrosły od roku 1972 o 88,6 mld zł, a w stosunku do roku 1970 — o 216,6 mld zł, czyli o ponad 41 proc. Oznacza to, że każdy z nas zarobił średnio 22 300 zł rocznie, czyli 1850 zł miesięcznie. Średni zarobek bezpośredni wzrósł zatem o dalszych 200 zł. Najwyższy udział w tym przyroście dochodów miał wzrost wynagrodzenia za pracę — wyniósł on 15 proc. w stosunku do roku 1972. Trochę wolniej niż to wynagrodzenie zwiększyły się dochody ludności ze społecznych świadczeń pieniężnych. Ich wzrost bowiem w analogicznym okresie wyniósł 11 proc. W tym samym czasie wzrosły również dochody ludności z produkcji rolniczej były one wyższe o 7,7 proc., średnia zaś emerytura i renta wynosiła 1304 zł miesięcznie.

Wzrostowi dochodów ludności towarzyszą pewne zmiany w strukturze spożycia i wydatków, charakterystyczne dla społeczeństw, którym poprawiają się warunki życia. Z reguły maleje wtedy wartość udziału w zakupie artykułów żywnościowych, służących zaspokojeniu bezpośrednich potrzeb, wzrasta natomiast część przeznaczona na artykuły przemysłowe i usługi. Średnioroczne tempo wzrostu wydatków na te dwie ostatnie pozycje było u nas w latach 1971—73 ponad dwukrotnie wyższe niż tempo wzrostu wydatków na żywność — odpowiednio 12,7 na artykuły przemysłowe przy 5,1 proc. na artykuły żywnościowe.

Osiągnięcie tak wysokich wskaźników wzrostu dochodu narodowego, szybkiej poprawy warunków życia i rozwoju ekonomicznego kraju mogło być dokonane tylko na bazie rozwoju produkcji i przy nieustannym wzroście wydajności pracy. Ale przecież nie tylko o zwykły wzrost wskaźników chodziło przy formułowaniu w latach 1970—71 nowego programu społecznego rozwoju. Istota sprawy polegała na wypracowaniu takiej strategii postępu, która gwarantowałaby nie tylko dynamiczny i harmonijny wzrost społeczno-ekonomiczny, ale jednocześnie przedstawiła program wyzwalający wszystkie potencjalne zasoby energii społecznej. Taki program postawiło przed nami w lutym 1971 r. VIII Plenum KC, program nieustannie wzbogacany o nowe doświadczenia i płynące z nich wnioski zawarte w Uchwale VI Zjazdu i w tezach na nasze 30-lecie, program, który konsekwentnie i z uporem realizujemy na co dzień. Podstawowe zasoby energii społecznej zostały wyzwolone — rzetelna i uczciwa praca zyskała należyty jej walor i rangę, a także zasłużoną rekompensatę materialną. Chodzi teraz o to, by tę nową wartość — wyższą jakość tej energii, właściwie i należycie spożytkować. Dynamiczny bowiem rozwój naszej ekonomiki „tworzy podstawę postępu we wszystkich dziedzinach socjalistycznego rozwoju", stanowi obiektywną konieczność — jak to podkreślono na XIV Plenum KC. Należy go nieustannie rozwijać i wzbogacać.

J. T. J.

NOTY i OPINIE

— **DOROBEK POLSKICH UCZONYCH W EGIPCIE** cieszy się już zasłużoną sławą nie tylko w kraju. Ostatnio polscy egiptolodzy odkryli świątynię Totmesa III. W pracach rekonstrukcyjnych i badwczych dr **Jadwiga Lipińska** dokonała odkrycia posągu Totmesa III, wykonanego z szarego granitu. A docent **Marek Marciniak** — odkrył i odczytał napisy pielgrzymów z tejże świątyni.

Wkrótce nakładem PWN ma ukazać się książka **Marka Marciniaka** „Inskrypcje hieratyczne ze świątyni Totmesa III w Deir el-Bahari".

— **PROBLEM ŁAZIENKI** mógłby wydawać się wielu ludziom przesadny, gdyby nie fakt, że budujemy coraz więcej i coraz więcej ludzi będzie posiadało łazienkę i musiało z niej korzystać. Do przeszłości już należą historyjki o królikach czy kartoflach w wannie, ale problemem teraz jest sama wanna. Ludzie bywali w świecie i w mieszkaniach, budowanych parenaście lat temu, z podziwem patrzą na wannę, w której może wygodnie położyć się nawet wysoki mężczyzna. Możemy ich jednak tylko pocieszyć, że nie tak bardzo dawno w budowanych blokach instalowano wanny przypominające kształtem kadzie, tak że dziś instalowane wanny wydają się już znacznie przestronniejsze wobec owych emaliowanych kadzi.

Specjaliści patrzą na wannę w zupełnie inny sposób. Ich zdaniem budownictwo spółdzielcze powinno zostawiać lokatorowi wolną decyzję w sprawie wyboru wanny czy natrysku. Na całym świecie — utrzymują oni — stosuje się coraz powszechniej kabiny natryskowe i moglibyśmy stosować je u nas. Zakupionych kilkadziesiąt kabin natryskowych w CSRS rozeszło się w Warszawie błyskawicznie. A więc ludzie chcą.

Owszem chcą, ale takich kabin nikt w Polsce nie produkuje i — jak do tej pory wiadomo — prędko produkować nie będzie. Ale sprawa jest i warto byłoby się nią bliżej zająć. W końcu spółdzielnie mieszkaniowe powołano nie tylko dlatego, aby były, ale również i po to, aby czyniły wygodę swoim członkom, dla których budują mieszkania. A wyposażenie tych mieszkań ciągle jeszcze przypomina czasy Króla Ćwieczka Młodszego, za którego to już znano łazienki, ale jeszcze bardzo prymitywne.

Okazuje się, że nowoczesne osiągnięcia techniki można wprowadzić i do łazienki. Tak czynią już nasi sąsiedzi i ci na południu i ci na zachodzie. I już choćby w porównaniu do NRD czy CSRS nasz przemysł produkujący armatury ma wiele do odrobienia. Ale też, aby przemysł ten mógł przystąpić do produkcji coraz to nowszych urządzeń, musi mieć na to zapotrzebowanie. I tu jest zadanie spółdzielczości mieszkaniowej.

— **MATERIAŁU WYBUCHOWEGO ZAMIAST MŁOTA** używają pracownicy naukowi Wojskowej Akademii Technicznej w Warszawie. Działa grupa naukowców, którą kieruje doc. dr hab. **Wiktor Babula,** a która specjalizuje się w stosowaniu materiałów wybuchowych zamiast prasy.

Specjaliści z **WAT** dokonali metodą wybuchów uszczelnienia rur w wymienniku ciepła w warszawskiej elektrociepłowni Siekierki. W podobny sposób uszczelniano rury w elektrociepłowniach Bydgoszczy i Łodzi. Praca trwa krótko, skuteczność bardzo wysoka, a wojskowi chętnie przekazaliby swoje umiejętności i sposoby cywilom. Korzyść dla gospodarki byłaby wielka, ale żadna z cywilnych instytucji, żadne z przedsiębiorstw nie interesuje się metodą formowania metali za pomocą wybuchów.

— **ELEKTRONIKA POMAGA** w dokonywaniu pomiarów. Rozwój techniki wymaga coraz bardziej precyzyjnych urządzeń a przy ich wytwarzaniu trzeba coraz większych dokładności. Jak do tej pory na śrubie mikrometrycznej udało się osiągnąć dokładność rzędu 2 mikronów. Dla współczesnych potrzeb to mało. W Warszawskich Zakładach im. K. Świerczewskiego udało się podzielić milimetr na 10 tysięcy części. Projekt elektronowej maszyny do mierzenia opracował mgr in. **Marek Modrzejewski,** a prototyp wykonano zespołowo, „Świerczewski" będzie takie urządzenia produkował seryjnie.

Urządzenie do elektronowego mierzenia nazwano **MDNI-Fa i może ono współpracować z** maszynami — z obrabiarkami, szlifierkami. Dokonuje nie tylko pomiarów w trakcie pracy maszyny, ale może też nią sterować. Dokładność pomiaru pokazuje bądź to na świetlnej tabliczce bądź w połączeniu z drukarką może dokonywać zapisu pomiarów wyniku pracy kontrolowanej maszyny. Dzięki produkcji takich urządzeń i połączeniu ich z komputerem jeden człowiek będzie mógł obsługiwać po kilka maszyn.

— **SZKLANKA NA ŁAŃCUCHU.** Oryginalne zdjęcie zaserwował czytelnikom „Express Wieczorny". Jak wynika z podpisu pod zdjęciem, przedstawiającym szklankę umocowaną na łańcuchu, w Warszawie na Sadach Żoliborskich zainstalowano koło sklepu „Burbonka" automaty z wodą sodową. Urządzenia to pożyteczne i od dawna znane już wielu stolicom cywilizowanych narodów. W Warszawie — jak się okazuje — są nowością — ale też i inicjatorzy takiego nowinkarstwa podejrzewają Polaków o to, że nie będą potrafili obchodzić się z tak skomplikowanym automatem i że każdy będzie marzył o... ukradzeniu szklanki.

Dobre? Co?

CO KRYJE ZIEMIA?

Pewien dziennikarz postanowił przeprowadzić wywiad ze znanym milionerem. Po wielu zabiegach został wreszcie dopuszczony przed oblicze sławnego bogacza, który przyjął go siedząc za biurkiem w swoim gabinecie. Był wieczór, w pokoju paliła się mała świeczka, dając tyle tylko światła, że obaj mężczyźni mogli nawzajem widzieć swoje twarze.

— Przede wszystkim, proszę mi opowiedzieć jak pan dorobił się takiej olbrzymiej fortuny — rozpoczął wywiad dziennikarz.

— Chętnie zaspokoję pańską ciekawość — odrzekł milioner. — Pozwoli pan jednak, że najpierw zgaszę świeczkę, gdyż nie będzie nam potrzebna przy rozmowie.

— Ach, tak! — wykrzyknął dziennikarz. — Dziękuję panu, już wszystko rozumiem. Przejdźmy do następnego zagadnienia...

* * *

Trzynastego lipca bieżącego roku, w bydgoskich „Faktach 74" ukazał się bardzo interesujący artykuł Lucjana Znicza, zatytułowany „Tajemnice turoszowskiego grobowca", w którym autor omawia problemy elektrowni Turów związane ze składaniem milionów ton popiołu, powstałego w wyniku pracy tej elektrowni. A także podobne, choć zwielokrotnione, problemy kopalni odkrywkowej wynikające wskutek konieczności zdejmowania 30-metrowego nadkładu ziemi, którą trzeba następnie gdzieś zsypywać. W rezultacie pracy obu tych przedsiębiorstw rosną hałdy popiołu zmieszanego ze żwirem, gliną, piaskiem, itp., z którymi to hałdami nie wiadomo, co robić.

Tymczasem, jak wskazuje autor, ogromne te zwałowiska mogłyby być bogatym źródłem surowców, takich jak piasek, żwir, iły ogniotrwałe, tlenki glinu, tlenki krzemu, itp. Mogłyby być, gdyby... Właśnie, gdyby ktoś, po gospodarsku, postanowił zająć się wykorzystaniem „odpadów". W międzyczasie, na wspólnym zwałowisku kopalni i elektrowni, wszystkie te cenne surowce, które można by wykorzystać, są bezpowrotnie stracone, gdyż są tak ze sobą przemieszane, że nie ma co marzyć, aby cośkolwiek z tego dało się oddzielić i wyzyskać. Jak pisze autor artykułu, **„...każda godzina odwlekania decyzji o kompleksowym wykorzystaniu wszystkich tych tak cennych „odpadów" grzebana jest pod nagrobkiem o pojemności 11 tysięcy sześciennych metrów".**

Jedyną rzeczą, którą dotychczas próbowano zrobić, dla osiągnięcia jakiego takiego pożytku z tych usypisk, było obsianie jednej z hałd trawą i obsadzenie krzewami, między innymi, czarnych porzeczek.

Oszczędność jest cnotą i żaden naród, nawet najbogatszy, nie może sobie pozwolić na marnotrawstwo. W takiej Wielkiej Brytanii, mimo że mocno podupadłej w porównaniu z czasami największej jej świetności, a mimo to niewątpliwie od nas bogatszej, Polak jest często zaszokowany, gdy się dowie i widzi, że zbiera się tam, takie drobnostki, śmiecie prawie, jak folię aluminiową, tzw. „złotko", którą są wyłożone paczki z papierosami, a którą się u nas beztrosko wyrzuca. Folię tę zbiera się dobrowolnie, w celach dobroczynnych: fundusze uzyskane za ten, widocznie cenny surowiec wtórny, przekazywane są na wsparcie dla biednych i chorych.

Nie zdziwi więc chyba nikogo, jeśli się dowie, że w tejże Wielkiej Brytanii prowadzone są intensywne prace zmierzające do znalezienia najlepszych sposobów przemysłowego wykorzystania... zwykłych śmieci. Do tej pory były ze śmieciami tylko kłopoty: trzeba je było uprzątać i jakoś się ich pozbywać. Robiono to w dwojaki sposób: albo śmieci wysypywano na specjalne wysypiska i przykrywano warstwą ziemi, albo je palono. Żaden z tych sposobów nie był idealny, bo na wysypiska potrzebne były coraz to nowe grunty, a spalanie zanieczyszczało atmosferę i zwiększało koszty całej operacji.

Rozwiązań szuka się nie tylko w Wielkiej Brytanii. Śmieci, po odzyskaniu szkła, metalu i makulatury, spala się w specjalnych urządzeniach. W Amsterdamie tak powstałe ciepło używa się do produkcji elektryczności, w Hong Kongu — do odsalania wody morskiej, w Paryżu i Nottingham — do ogrzewania mieszkań.

Inne rozwiązanie nosi nazwę **pyrolizy.** Polega ono na ogrzewaniu odpadków w zamkniętych pojemnikach, bez dostępu powietrza. Wynikiem takiego procesu są gazy palne, oleje, coś w rodzaju węgla drzewnego, i na koniec, woda. W mieście Kolding w Danii, gaz miejski pochodzi z procesu pyrolizy.

Trzeci sposób wykorzystania odpadków, to **hydroliza,** polegająca na doprowadzaniu do wysokiej temperatury tych odpadków, które zawierają celulozę, po zmieszaniu ich z kwasem i wodą. W rezultacie tego procesu otrzymuje się cukry, które po fermentacji dają alkohol etylowy — bardzo cenny półprodukt w wielu gałęziach przemysłu chemicznego.

W obecnych czasach, gdy walczymy o zachowanie naturalnego środowiska człowieka, takie metody pozbywania się odpadków nie są do pogardzenia. Nie można, co prawda, na tym zbić majątku, jednakże oszczędności na energii i surowcach są znaczne, a i fakt, że w ten sposób zmniejsza się ilość zanieczyszczeń ma też swoją wagę.

Skoro o zanieczyszczeniach mowa, to zaraz przychodzi na myśl, że wokół nas coraz mniej jest niechluistwa, że nasze place, ulice i skwery wyglądają coraz ładniej i porządniej. Porządek, rzecz chwalebna!

Jednakże, jakże często boli serce, gdy patrzy się na „porządkowanie" placów przed nowo ukończonymi blokami. Wygląda to tak, że najpierw przyjeżdża spychacz i równa teren. Po nim wywrotki wożą ziemię, na której zasieje się trawę i zasadzi kwiaty oraz krzewy. Przy okazji w piach idzie wiele rzeczy, których „nie opłaci" się zebrać, a więc, druty i liny stalowe, pręty różnej grubości, deski i inne drewno, płyty chodnikowe i tzw. „trylinka", cegły różnego rodzaju i wielkości, całe płyty betonowe, nie zużyte wapno, a nawet worki z cementem... Gdy już jest równo i prawie nic z ziemi nie wystaje, robotnicy zaczynają rozrzucać czarną ziemię. Jeśli potem przyjdzie im posadzić kwiaty lub krzewy i akurat natkną się na zagrzebaną w ziemi płytę betonową, to co robią? Ucinają roślinie korzeń! A roślina? — jeśli chce, to rośnie i na płycie betonowej.

Niedaleki od prawdy jest pogląd, że z tego, co zagrzebane w ziemi wokół niejednego bloku, można by wystawić pokaźny domek jednorodzinny i, na dodatek, przez długi czas nie martwić się o opał...

B. K.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), JAN JANICKI (redaktor techniczny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), JERZY WILMAŃSKI (drugi sekretarz).
Stale współpracują: ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, MAREK WAWRZKIEWICZ.

POMNIK DALEKI OD SZTAMPY

JACEK INDELAK

...Jawi mi się pomnik doktora Eugeniusza Wróbla. Tylko pomnik jakiś taki nietypowy. Tak daleki od powszedniej sztampy, jak daleka jest od niej postać Doktora i jego życie. Pomnik, który zakułby w kamieniu czy też w brązie ulał najczystszą, wypreparowaną kwintesencję, jeśli nie całego, to chociaż ostatniego dziesiątka doktorowego żywota.

Jaki więc byłby to pomnik? Ot, ustawiłbym na wysokim piedestale kilka walizek. Na nich posadziłbym Doktora. Prawą rękę odrzuciłbym mu w bok, daleko od głowy, a palce jej zacisnąłbym kurczowo na wyrzucającym z bezgłośnym sykiem długie żądło jęzora płaskim łbie. Łbie niewinnego tylko w mitologicznym przekazie węża Eskulapa, który na mym pomniku rozrósłby się do monstrualnych rozmiarów boa-dusiciela oplatającego swymi bezkręgosłupowymi (sic!) zwojami umęczoną sylwetkę doktora. W lewą rękę wsunąłbym mu ni to wór przepastny, ni to sakwę podróżną, ni też urzędniczą aktówkę, ni wreszcie róg najsławniejszej z kóz. Z którego to worosakwoteczkorogu sypałyby się zminiaturyzowane (w skali dowolnej) administracyjne druczki, techniczne rysunki, architektorskie szkice, grafomańskie petycje, aptekarskie specyfiki, lekarskie stetoskopy, pielęgniarskie strzykawki, medyczne aparaty, laboratoryjne szkła, państwowe medale, okazjonalne odznaczenia i tak dalej, i tym podobnie. A wszystko to przemieszane nie mniej obfitą brzęcząco-szeleszczącą, papierowo-metalową mamoną...

Pan mówi, że co? że pomnik się nie należy? Panie, do kogo ta mowa? A jak składasz pan publiczne dziękczynienia sprzedawczyni za to, że pewnego dnia wydała panu pięciogroszową resztę, a przy tym nie oponowała, gdy pan nieśmiało zaproponowałeś, aby jednak — mimo wszystko, serdecznie przepraszam, że się ośmielam — odrzuciła od przed momentem zważonego kawałka wędliny oplecionego wokół sękatego patyka sznurek konopny z dyndającą u końca metką? A jak pan się dławisz z zachwytu nad dozorcą — pardon, gospodarzem domu — który pewnego, nie mniej pięknego, dnia raczył pomachać miotłą przed blokiem i zamieść klatkę schodową, a tegoż wieczoru nie dał panu w mordę, kiedy o wpół do pierwszej, zapomniawszy klucza od drzwi wejściowych, ośmieliłeś się pan zerwać go z łoża i za jedyne (tfu! żebrak!) dwie dychy zmuszać go do tak wielkiej fatygi, jaką jest niewątpliwie otwieranie komuś drzwi po nocy? A jak pan?... Panie, to co? Odczep się więc pan od mojego pomnika!...

Od pomnika, który zacząłem wznosić, siedząc w czerwonej miękkości fotelowej tapicerki na przytulnym zapleczu aptekarskiej domeny magistra Edwina Szymczyka, wdychając zapach świeżej farby i dosychającego cementu, najmniej zresztą namacalnych komponent faktu, jaki stawał się przez wiele ostatnich miesięcy, a dziś zelektryzował i podniecił do granic przyzwoitości całą społeczność wsi Gidle (dla niewtajemniczonych podaję lokalizację: województwo łódzkie, powiat radomszczański).

Na fakcie tym przybito dwie tablice. Pierwszy napis, mniejsza tablica: SERVITUTO PRO HUMANITATIS SANITATE. Drugi napis, większa tablica: Pomnik Narodowego Funduszu Ochrony Zdrowia wybudowany przez społeczeństwo gminy Gidle przy współudziale środków NFOZ. Oddano do użytku z okazji XXX-lecia PRL.

Jeden pomnik zatem już jest i to okazały. Ma on — tj. pomnik czyli rzeczony fakt — dwie (a z piwnicami — trzy) kondygnacje, w które weszło przeszło cztery tysiące metrów sześciennych kubatury i około półtora tysiąca metrów kwadratowych powierzchni użytkowej. Na tych metrach urządzono na parterze: gabinet internistyczny, zabiegowe — czysty i brudny, stomatologiczny — plus podręczna protezownia, poradnie dla dzieci — chorych i zdrowych. Na piętrze ciąg dalszy pomnika: pięć sześćdziesięciometrowych mieszkań trzypokojowych z kuchniami, łazienkami i WuCetami.

A wkrótce wmurowane zostaną w pomnik następne cegły: gabinet ginekologiczny i fizykoterapeutyczny oraz — w piwnicach — laboratorium analityczne.

Słowem: gminny ośrodek zdrowia. Taki, jakim w najśmielszych nawet mrzonkach — jak Gidle długie i szerokie (a długie i szerokie) — bano się go kreować. Dlatego też, bijąc się w piersi, tego właśnie dnia, niedowiarkowie najzagorzalsi — niewierni gidlanie — przyznać musieli, że ośrodek ze słów licznych a mięsiącami trwonionych stał się murowanym ciałem, które wyrosło jak pomnik dla jednych, a wyrzut sumienia — dla drugich. Wyrosło, niczym ilustracja do postawionej na głowie bajki o myszy, która urodziła... górę. Tak, górę! Aby jednak nie było nieporozumień i dalej nam się w/w mysz po tekście nie plątała, pozwolę sobie już tu zasygnalizować, co pod mysim futerkiem się w tym kontekście kryje. Między innymi — aczkolwiek nie przede wszystkim — wysiłek, który zaowocował, mimo iż był wznoszony na wątłej glebie gremialnej niewiary w zespolone siły.

A psik, myszo! a my jedźmy dalej! Siedzę więc w czerwonym fotelu i wznoszę całkiem prywatny i nieoficjalny pomnik, a tymczasem za paroma ścianami, pod murem z białej cegły, u wejścia do pomnika społecznego i oficjalnego tłoczy się licznie zebrane przedstawicielstwo gidlańskiej ludności. Odświętne na ubraniach i twarzach, w niedzielnie podniosłym nastroju, chłonie dziesiątkami uszu uroczyste słowa wypowiadane przez powiatowych dygnitarzy. Przedstawicielstwo przyjmuje wyrazy uznania za społeczną postawę, za wysiłek zbiorowy i ofiarną pracę. Przedstawieciele przedstawicielstwa z łzą w oku i szczerym zażenowaniem przyjmują kwiatki symbolizujące wdzięczność całej społeczności. Przedstawicielstwo i zebrani goście klaszczą. Przedstawiciele przedstawicielstwa dziękują przedstawicielom władz za szczodrą pomoc i opiekę nad społecznym przedsięwzięciem. Ot, normalnie. Przyjacielska i serdeczna atmosfera...

A ja pomnik wznoszę. A bocian, który uwił gniazdo na stojącym obok ogrodzenia ośrodka drzewie, paskudzi na redakcyjną „Wołgę". Skwar, duchota, słońce praży. A uroczystość trwa. A obok na fotelu siedzi doktor Eugeniusz Wróbel i opowiada.

Trzeba go ciągnąć za słowo. Przypierać do muru. Bo skromny i nie chce mówić o sobie. Przedstawiciele organizatorów uroczystości przydzielili go dziennikarzowi na czas trwania tejże, bo dziennikarz nachalny, gadać z kimś musi. Zostawili. Wiedzieli, co robią, bo Doktor w kółko o innych i niewiele o sobie. Dziennikarz był jednak szczwany, zdążył sporządzić dossier, podpytał, wypytał, wyciągnął, podpowiedział i ma, co chciał.

Z Doktorem w ogóle kiepska sprawa. Dziwny człowiek. Jeden nawet taki (dziś jeszcze mu daruję, nie podam nazwiska, żeby nie psuć podniosłego nastroju), spytany o Doktora, kółko na czole wykręcił. Tak, tak. Dla Doktora to zresztą nie nowina. Nie na darmo mawiali mu koledzy po podwójnym fachu, tj. lekarsko-urzędniczym: — Te, Wróbel, kopa w dupę chcesz? Nie? To siedź na niej i nie podskakuj. Widzisz sam chyba, że przez twoją robotę do nas się doczepiają, mówiąc, że nic nie robimy...

Ano przecież i trudno im się za bardzo dziwić: dziecko nawet wie, że w społecznej świadomości (o, sztampo, pani nasza i matko!) obowiązuje stereotyp normalnego człowieka i obywatela, który jest niczym więcej, jak tylko pasażerem mknącego przez życie zawodowo-społeczne pociągu nad którego oknami i drzwiami nic tylko napisy: „Nie wychylać się". Przejedziesz bracie, tym pociągiem, spokojnie siedząc na przydzielonym miejscu (tu zadbano o miejscówki) aż do samej renty, to uznanie cię czeka, a po drodze nawet dyplom skapnie, a może i jakiś medal...

Doktor Wróbel wsiadł w ten pociąg przed dziesięcioma laty. Na miejscówce pisało: wiejski ośrodek zdrowia w Lgocie. 10 kilometrów od Radomska. Nie siedział długo na swym miejscu. Pierwszy raz się wychylił. Ośrodek był stary, zrujnowany, bieda z nędzą. Zamarzył mu się... szklany dom. Z funduszami na tego typu przedsięwzięcia było wówczas — trudno to zapomnieć — bardziej niż krucho. Załamać ręce i czekać? I zaczęło się. Rozkręcił Doktor akcję na potęgę. Akuszerował przy trudnym porodzie społecznego komitetu budowy ośrodka. Żeglując między Scyllami i Charybdami, krocząc po drodze krzyżowej usłanej różami (bo co krok to kolec) dobrnął Doktor wraz ze swymi Apostołami (a były ich od momentu narodzenia się wiary w Ośrodek już dziesiątki) do happy endu. Ośrodek — w połowie finansowany przez społeczeństwo miejscowe, w połowie przez państwo stanął. Piękny, nowoczesny.

W nagrodę (czy za karę?!) za inicjatywę, która zrodziła głośny na cały kraj Sukces (kto wie, co by przyniosła klapa? ryzyko jest u nas kosztowne) mianowano Doktora kierownikiem Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej Powiatowej Rady Narodowej w Radomsku. Mianowali i oddali w uprawę zaniedbane i zachwaszczone poletko, gdzie tam — istny ugór. Zakasał Doktor rękawy, splunął w dłonie i wparł się w administracyjny pług, a konie jakieś takie cherlawe, słabowite, podtrzymywać je jeszcze trzeba, żeby nie zwaliły się w dopiero co odrzuconą, płytką skibę...

I orał Doktor — aż do kwietnia tego roku. Nie, drogi Czytelniku, żądny sensacji — a może tylko szukający we wszystkim potwierdzenia swej życiowej mądrości, że lepiej pływać niż orać... Więc, nie, szanowny Czytelniku, nikt Doktora nie wyrzucił, ani też nie wygryzł (przynajmniej nic na ten temat nie wiadomo). Sam z własnej jak najbardziej wolnej i nieprzymuszonej woli ustąpił miejsca swemu następcy — doktorowi Maciejowi Pałeczowi, który nb. obejmując ten zaszczytny i odpowiedzialny urząd zgodził się tylko na mianowanie p.o...

Po prostu doktor Wróbel dokonał na tym etapie życia bilansu zawodowo-prywatnego i orzekł: mogę już pozwolić sobie na luksus odejścia z czystym sumieniem i podniesioną głową, aby zabrać się wreszcie do porządkowania spraw rodzinnych i zawodowych! Bilans? Właśnie. Po Lgocie przyszedł następny ośrodek, w Dobryszycach tym razem. Potem kolejne. Teraz Gidle. W najbliższych miesiącach kolej na Dąbrowę Zieloną i Wielgomłyny. W następnym roku powstanie ośrodek w Kłomnicach. Ostatni. Więcej nie potrzeba. W sumie: 20 ośrodków w ciągu jednej pięciolatki. Tyle, ile w ogóle było powiatowi potrzeba, aby potrzeby jego mieszkańców zaspokojone zostały aż po rok 2000. Tyle, aby powiat ten przeistoczył się z najbardziej pod tym względem zacofanego rejonu, w przodujący nie tylko w regionie, ale i chyba w całym kraju powiat. Wystarczy?

Doktor ustąpił. Zrobił swoje, wie, że może odejść. Nie na dobre jednak. Będzie nadal pracował w Radomszczańskiem. Jako lekarz — pediatra w radomskim szpitalu, gdzie zrobił już (uwaga dla Czytelnika-lekarza) pierwszy stopień specjalizacji i przygotowuje się do dwójki. Co w tym dziwnego, pan pyta, że został Doktor w powiecie? Niby nic, proszę pana, to tylko — za chwilę: clou programu — że jest on mieszkańcem... Krakowa. Przez siedem długich lat cztery razy na tydzień, w poniedziałek i sobotę, pokonywał on dwustukilometrową trasę, aby po tygodniu pracy i życia w terenie, spędzić niedzielę, w domu. Z żoną i dzieckiem! ona? Też lekarz, całą jednak duszą zaprzedana jednej z krakowskich klinik, na szczęście potrafiła zrozumieć męża-entuzjastę — chwała Jej za to! — i pewnie tylko dzięki temu ich związek trwa. Dziecko? Jak to dziecko, kilkuletni dziś synek Doktora nie za bardzo jeszcze może zrozumieć, że ma tylko takiego „niedzielnego tatę"... Trzysta pięćdziesiąt — a może i mniej — niedziel już znamy. Reszta dni tych siedmiu lat? Teren, praca, noce spędzane w piwnicznym pokoiku wygospodarowanym pod lgockim ośrodkiem (— Ależ, panie redaktorze, do tej pory ten pokoik wydaje mi się luksusowym mieszkaniem, bo nawet z ciepłą wodą! A ostatecznie znacznie to chyba lepsze niż wieczna tułaczka po numerach hotelowych?). Noce, praca, teren, Kłomnice, Dobryszyce, praca, Lgota, Kodrębie, Gidle praca, noce, teren, praca, niedziela, poniedziałek, praca, teren, Radomsko, praca...

Że co, że bełkot? Nie rozumiem, proszę pana? Acha, że gdzie Krym, a gdzie Rzym, czyli gdzie doktor Wróbel, a gdzie pomnik i Gidle? Otóż to, proszę pana, otóż to, nie trzeba się niecierpliwić, teraz miałem właśnie do Gidel (tak każą na miejscu odmieniać!) powrócić. Ostatecznie, siedem już przegadałem, ale jeszcze mi trzy strony zostały (jak mi ostatnio obwieścił red. Ryszard Binkowski, właśnie około dziesiątej strony zaczyna się górny „Odgłosowy" normatyw).

Siedzę więc ci ja w Gidlach, podpytuję doktora Wróbla o to i owo, Słyszę właśnie: — Dziesięć lat... Bardzo się zżyłem z powiatem. Trudno byłoby mi Go (wyraźnie słyszę dużą literę — przyp. ind.) opuścić, rozstać się na zawsze. Mieszka tu i działa wielu cudownych, wspaniałych ludzi. Bez nich, bez ich pomocy, zapału, ofiarności i zaangażowania moje wysiłki, pomysły, starania, psu na budę by się zdały...

Raz, dwa, trzy, moje szczęście. O mało nie złapałem Doktora za guzik, bo w tym momencie obaj spojrzeliśmy na stojący obok pusty teraz fotel. Kilkadziesiąt minut temu siedziała w nim doktor Zofia Jakubowska, odrębny rozdział tej samej powieści o ludziach dobrej woli. Przed czterdziestoma laty pani doktor wraz ze swym mężem — Aleksander, również młodym i pełnym zapału lekarzem, osiedliła się w Gidlach. Początkowo nie zamierzali tu zbyt długo mieszkać. Wieś jednak, i jej mieszkańcy, zauroczyła ich. Miłość pewnie była wzajemna, bo zostali tu po dziś dzień. Leczyli gidlan, pomagali im przychodzić na świat. Doktor Aleksander Jakubowski, na przykład, odbierał poród dzisiejszego naszego gospodarza, farmaceuty, magistra Edwina Szymczyka, był też przy śmierci jego ojca, a usłyszał wówczas: — Panie doktorze, niech pan zaopiekuje się moim synem.

Pozostańmy jeszcze chwilę w kręgu najbliższych znajomych: doktor Szkielnik, kierowniczka gidlańskiego ośrodka, to też pacjentka doktora Jakubowskiego, którą uratował on od śmierci w chwili narodzin, przyszła bowiem na świat w zamartwicy.

Dziś doktor Jakubowski jest ordynatorem stworzonego przez siebie szpitalnego oddziału ftizjatrycznego, zaś jego żona jedną z dwojga stomatologów ośrodka, którego ona jest z kolei współtwórczynią...

Mówi doktor Zofia Jakubowska: — Ośrodek powstał z inicjatywy doktora Wróbla. Poprzedni ośrodek urągał nie tylko podstawowym wymogom tego rodzaju placówki, lecz wręcz kardynalnym zasadom higieny, a nawet bezpieczeństwa pracy. Pomysł wybudowania ośrodka społecznym wysiłkiem podsunął nam doktor Wróbel, a potem przez cały czas, aż do ukończenia budowy, był opiekuńczym duchem całego przedsięwzięcia. U schyłku 1972 roku powołany został w Gidlach społeczny komitet budowy ośrodka. Na początku następnego roku były już fundamenty. Całe społeczeństwo aktywnie włączyło się do realizacji tego planu. Dlatego też dziś już ośrodek stoi...

Streściła pani doktor całą historię, przedstawiając ją jako banalnie prostą sprawę. Nie chciała mówić o tym, że na początku — jak to bywa — więcej znów było kolców i róż. Nie chciała powiedzieć o tym, jak to chodziła od domu do domu namawiała, zachęcała, przekonywała, agitowała, dodawała wiary i otuchy nakłaniała, perswadowała, dawała przykład, propagowała, męczyła, organizowała, urządzała, walczyła... Jak to zwoływała narady i zebrania, urządzała pieniężne zbiórki i ochotnicze zaciągi do pracy...

Mówi doktor Wróbel: — Gdyby nie ofiarność i wytrwałość doktor Jakubowskiej, ośrodek pewnie by nie powstał...

Mówi doktor Pałecz: — Wszelkim przedsięwzięciom o takiej skali towarzyszy zwykle niewiara w ich powodzenie. Gdyby nie bezprzykładna postawa doktor Jakubowskiej po dziś dzień pewnie toczyłaby się dyskusja na temat tego, czy budowa ośrodka w ogóle jest możliwa...

Mówi doktor Jakubowska: — Oczywiście i mnie ogarniało chwilami zwątpienie, ale wtedy po raz kolejny z rzędu wyciągnął rękę doktor Wróbel i podtrzymywał, nie dawał się załamać...

A sytuacji, kwalifikujących się do opuszczenia rąk i godnej kapitulacji nie brakowało. Ot, przykład pierwszy z brzegu. Przed jego zaserwowaniem konieczny jest jednak uproszczony wprawdzie, ale bądź co bądź, topograficzno-socjologiczny szkic. Gmina Gidle liczy osiem i pół tysiąca dusz, których zdrowiu cielesnemu służyć miał ośrodek. Logiczną zdaje się lokalizacja ośrodka w stolicy gminy — półtoratysięcznych Gidlach. Bo i stąd do wszystkich krańców gminy odległość prawie jednaka, a i do tego Gidle są siedzibą jedynych w okolicy zakładów przemysłowych: spółdzielni „Gidlanka" (założonej w 1905 roku) i oddziału „Agromedu" (do niedawna całkiem samodzielnego przedsiębiorstwa).

Nie zawsze jednak czarne jest czarne. Dowód: mieszkańcy Pławna, wsi łączącej się niemal niepostrzeżenie z Gidlami, powiedzieli: jakie tam czarne, przecież wyraźnie widać, że białe, czyli ośrodek powinien stanąć na naszym terenie. A że mieli (przepraszam za niedyskrecję) solidne plecy w postaci dobrze sytuowanych reprezentantów miejscowych władz, ich pretensje nie zostały bynajmniej zbagatelizowane, wręcz przeciwnie: przekuto je w p r o b l e m. Poszło udry na udry. Rozgorzał na nowo historyczny już konflikt między „śpilorkami" (Pławno — wieś, a niegdyś miasto, szewców) a „myntolikami" (od: medalki, bo w Gidlach są trzy kościoły), jak to się nawzajem mieszkańcy obu wsi wcale pomysłowo wyzywają...

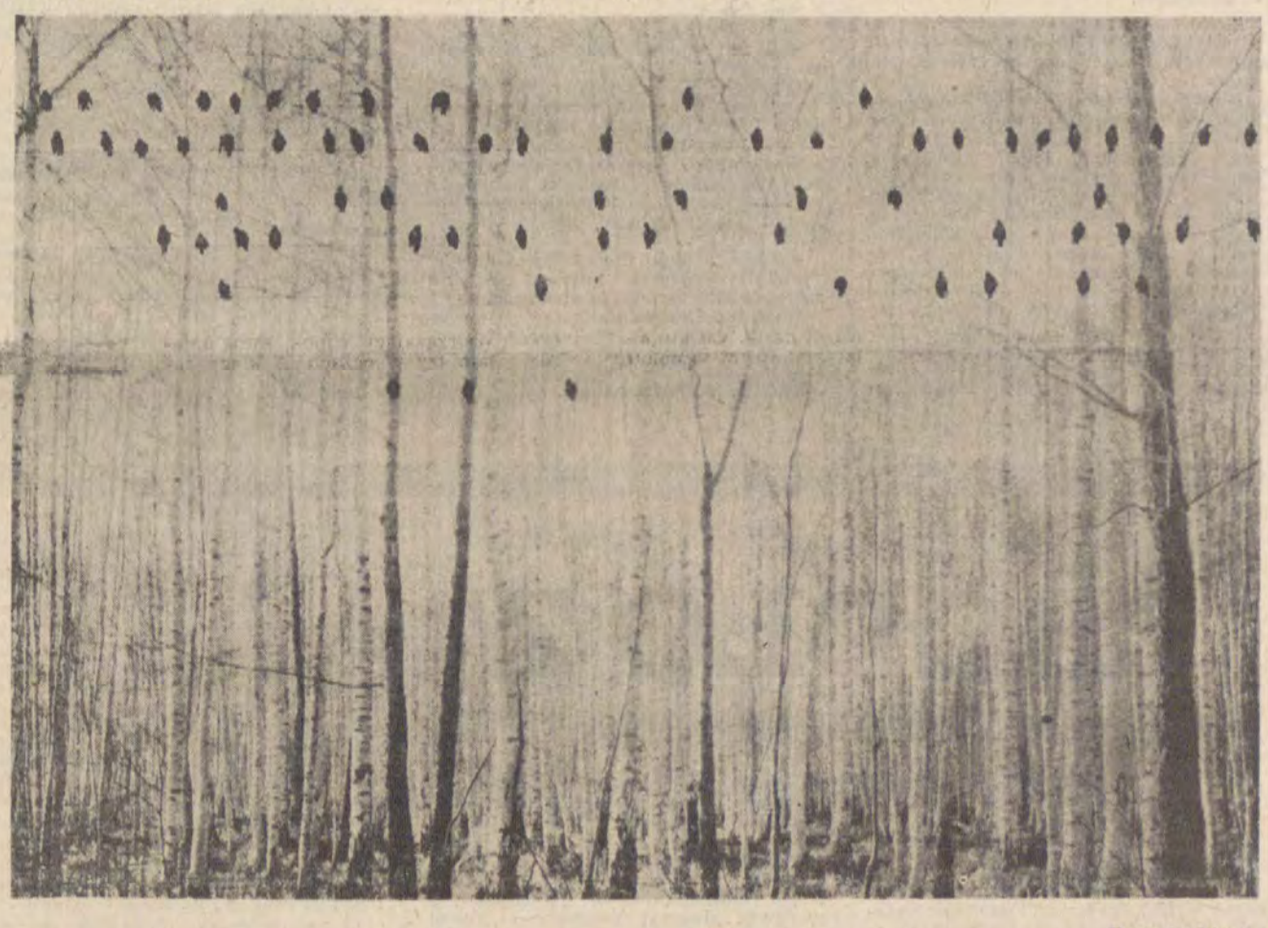

Fot: Archiwum

Rozległy się ostatnie oklaski i już z korytarza dobiega uroczyste szuranie świątecznych butów przedstawicielstwa etc., a gdzie mój pomnik, gdzie koniec całej historii? Siła wyższa, Czytelnik — o nadziejo, matko... — wybaczy i razem ze mną wmiesza się w tłum, zwiedzający swój nowy ośrodek.

Przeciskamy się powoli korytarzami, zaglądamy do gabinetów, pokojów zabiegowych i schodów, obklepujemy stolarkę drzwi i okien, paznokciem sprawdzamy solidność malowania, majtamy drzwiami, słuchając czy dobrze naoliwione...

— No, Franuś, godej, co w tej izbie musi być. Robiłeś sam tu przecie, więc musi wiesz — dobiega nas z jednej strony.

— Widzisz, Józik, naucz się ode mnie, jak żyć. Chodzili po domach, chcieli po „góralu", nie dałem, bom powiedział, że ni mom. Potem przyszli z wieczora jeszcze roz. Powiadają, żebym konia dał, bo ziemię trzeba wozić, a ja na to, że mi się szkapina ochwaciła i jak ozdrowieje to som przyjdę i do roboty się najmę. Jakoś ta przetrzymołem, widać o mnie całkiem zapomnieli. I dobrze. A ośrodek taki mój, jaki jejich, znaczy nasz, tak przecie ten, no sekretorz powiedzioł. Znaczy i ja tu się leczyć będę. Tak to widzisz, Józik, co głowa to... — te słowa już z innego kierunku.

Szczerze zaniepokojony oglądam się: czy Doktor to słyszał? Albo nie słyszał. Albo udaje. Bardzo możliwe. Przecież to człowiek dziwny jakiś taki... Kurtyna. Oklaski już były.

6.

— Kiedy wrócisz, to podniebne gniazdo kukułcze znów będzie przybytkiem melancholijnego homoseksualisty — rzekła Natasza. — Przyjeżdża za tydzień. Dziś rano powiadomił mnie o tym list pisany na nowym, czerpanym papierze, pachnący klubem dżokejów.

— Skąd?

— Nagle cię to zainteresowało?

— Nie. Głupio spytałem, by ukryć moje zmieszanie.

— Z Meksyku. Tam także skończyła się wielka miłość.

— Dlaczego tam także?

— Czy znów pytasz, by ukryć swoje zakłopotanie?

— Nie. Pytanie wynika z zainteresowania w ogóle ewolucjami ludzkimi.

Natasza oparła się na ręku i spoglądała w lustro tak, że oczy nasze się spotkały.

— Jak to jest, że okazujemy więcej zainteresowania nieszczęściu aniżeli szczęściu? Czy jesteśmy zazdrosnymi bydlakami?

— Na pewno. A poza tym szczęście jest nudne. Nieszczęście nie.

Natasza śmiała się.

— Coś w tym jest. O szczęściu można mówić co najwyżej pięć minut: Nie ma się nic do powiedzenia ponad to, że się jest szczęśliwym. O nieszczęściu można mówić całą noc. Czy nie tak?

— Jest tak, jeżeli idzie o małe nieszczęście — powiedziałem z wahaniem. — Inaczej, gdy chodzi o rzeczywiste.

Wciąż mi się jeszcze przyglądała. Światło z pokoju stołowego padało skośnie w jej oczy, czyniąc je dziwnie jasnymi i przezroczystymi.

— Czy jesteś bardzo nieszczęśliwy, Robercie? — spytała, nie spuszczając ze mnie oczu.

— Nie — odpowiedziałem po chwili.

— Dobrze, że nie odpowiedziałeś, że byłeś szczęśliwy. Na ogół nie mam nic przeciw kłamstwu. Sama kłamię niezgorzej. Ale niekiedy nie mogę go znieść.

— Bardzo bym chciał być szczęśliwy — powiedziałem.

— Nie jesteś nim. Nie tak jak inni ludzie są szczęśliwi.

Wciąż przyglądaliśmy się sobie. Zdawało się, że lżej byłoby odpowiadać do lustra niż tak bezpośrednio.

— Już pytałaś mnie o to niedawno — odrzekłem.

— Wówczas kłamałeś. Sądziłeś, że urządzę ci scenę i dlatego wolałeś zejść mi z drogi. Nie chcę ci robić żadnej sceny.

— Wówczas też nie kłamałem — powiedziałem niemal automatycznie i pożałowałem natychmiast. Niestety, w życiu przyswoiłem sobie kilka cech, które miały znaczenie dla mojej egzystencji, ale nie dla mego życia osobistego — do nich należała również ta, nigdy nie przyznawać się do kłamstwa. Była to dobra zasada w walce z władzami, ale nie zawsze w obcowaniu z ukochaną, chociaż i w tym wypadku dawała więcej korzyści niż strat.

— Nie kłamałem — rzekłem. — Wyraziłem się tylko niezręcznie. Przejęliśmy ze stulecia romantyzmu pewną liczbę pojęć, które zostały bardzo zróżnicowane. Do nich należy jak najbardziej pojęcie szczęścia. Jak łatwo było kiedyś być szczęśliwym! I pod szczęściem rozumiano całe szczęście! Nie mam na myśli pisarzy i fałszerzy pieniędzy, którzy dzięki swym utalentowanym kłamstwom całe epoki poprzewracali — nawet bardzo wielkie wyglądały jak zahipnotyzowane przez świecącą, czarodziejską kulę, pociągnięta złotym sztychem: szczęście, to panaceum, ten kojący, uniwersalny środek na wszystko. Kto kochał, był szczęśliwy, a kto był szczęśliwy, ten był szczęśliwy w pełni.

Natasza oderwała się od mych oczu i wyciągnęła się jak długa.

— Tak, profesorze — mruczała. — To jest na pewno bardzo mądre, ale czy nie sądzisz, że to inne było prostsze?

— Prawdopodobnie było.

— To przecież zależy tylko od tego, jak się pojmuje. Co jest prawdziwe? To, co się czuje, nie ma przecież nic wspólnego z prawdą.

Śmiałem się.

— Oczywiście, że nie.

— Wam się wszystko poprzewracało. O ileż było piękniej wówczas, kiedy nieprawdę nie nazywano kłamstwem, lecz fantazją i kiedy uczucie mierzono tylko intensywnością, a nie według kanonów moralności. Jestem ciekawa, jaki ty wrócisz z gniazda przewrotności, Hollywoodu? Będą ci tam tylko wywijać przed oczami dźwięcznymi kliszami, jak wypchaną piórami pierzyną.

— Skąd o tym wiesz? Byłaś tam?

— Tak — odparła Natasza. — Na szczęście nie jestem fotogeniczna.

— Ty nie fotogeniczna?

— Nie, zawsze to coś znaczy.

— W przeciwnym wypadku byłabyś tam została?

Natasza ucałowała mnie.

— Oczywiście, mój ty niemiecki Hamlecie. Każda kobieta, która mówi co innego, kłamie. Czy sądzisz, że mój zawód jest tak zachwycający, że nie mogłabym się go wyrzec? Ach, te tłuste, bogate kobiety, które trzeba okłamywać, że suknie na smukłe osoby pasują także na nie! I te cienkie bestie, które nie odważą się mieć kochanka i które też znaleźć go nie mogą i przez to swoją wściekłość wyładowują na ludziach, którzy nie mogą się bronić!

— Chciałbym, żebyśmy mogli pojechać razem — powiedziałem bez zastanowienia.

— To niemożliwe. Zbliża się sezon zimowy. A my nie mamy pieniędzy.

— Będziesz mnie zdradzać?

— Naturalnie — rzekła.

— Co, naturalnie?

— Nie zdradzam cię, kiedy tu jesteś.

Przyglądałem się jej. Nie wiedziałem, czy tak myśli, jak mówi.

— Jeżeli kogoś tu nie ma, wydaje się, jakby nie miał już nigdy wrócić. Nie od razu, ale bardzo prędko — rzekła Natasza.

— Jak prędko?

— Czy ja mogę wiedzieć? Nie zostawiaj mnie samej i nigdy nie będziesz zmuszony o to mnie pytać.

— To wygodne — odpowiedziała. — Kiedy ktoś jest tu, nie potrzeba nikogo innego. Kiedy go tu nie ma, jest się osamotnionym, a kto może być osamotniony? Ja nie.

— Czy to idzie tak szybko? — spytałem tym razem już trochę zaniepokojony. — Tak po prostu wymienia się jednego na drugiego?

Roześmiała się.

— Oczywiście, że nie. To nie jest tak. To nie jednego na drugiego — to osamotnienie na nieosamotnienie. Mężczyźni widocznie mogą być sami, kobiety nie mogą.

— Ty nie znosisz samotności?

— Niedobrze, Robercie. Jestem jak bluszcz. Osamotniona pełzam wokół po ziemi i więdnę.

— Nawet w ciągu dwóch tygodni?

— Kto wie, jak długo cię tu nie będzie. Nie ufam nigdy terminom. Zwłaszcza terminom powrotu.

— Ładna perspektywa!

Natasza zerwała się i zaczęła mnie całować.

— Czy wolałbyś beksę, która idzie do klasztoru?

— Nie, gdybym został tutaj, tak, jeżeli wyjadę.

— Nie można mieć wszystkiego.

— Jest to najsmutniejsze stwierdzenie, które znam.

— Nie najsmutniejsze. Najrozsądniejsze.

Wiedziałem, że prowadzimy grę, była to jednak gra, w której strzały nie miały grotów stępionych. Słowa sięgały głębiej niż pod skórę.

— Zostałbym tutaj, gdybym mógł — powiedziałem. — Mnie się też wydaje, że mój wyjazd w tym czasie do Hoollywood nie jest fortunny. Ale po tygodniu nie miałbym już co jeść, gdybym nie pojechał. Silvers zaangażowałby innego asystenta.

Nienawidziłem siebie za to, co powiedziałem. Nie mogłem sobie pozwolić na wyjaśnienia, nie chciałem pakować siebie w sytuację zależności, w której musiałem składać wyjaśnienia, jak jakiś małżonek safanduła. „Natasza jest przebiegła — myślałem rozżalony — zawładnęła polem bitwy. Walczę nie na jej boisku, lecz na swoim, a to oznacza niebezpieczeństwo". Kiedyś nauczyłem się tego od toreadora.

— Będę musiał się z tym pogodzić — powiedziałem i roześmiałem się.

Jej się to nie podobało, ale nie odpowiedziała.

— Jest jesień — stwierdziła Natasza szybko zmieniając nastrój, z czego była mi znana — a jesienią nie powinno się być samą. Zresztą i tak jest dość trudno ją przetrzymać.

— Dla ciebie jest już zima, Nataszo. Mówiłaś mi, że zawsze wyprzedzasz porę roku, a więc moda zimowa z zamieciami śnieżnymi jest w pełni.

— Masz na wszystko odpowiedź — stwierdziła nieprzyjaźnie. — Zawsze znajdziesz wyjście.

— Jest coś gdzie nie znajduję wyjścia — powiedziałem. — To ty!

Natasza zmieniła się na twarzy.

— Chciałabym, żebyś nie kłamał.

— Ja nie kłamię. Doprawdy nie znajduję, żadnego. Dlaczego miałbym?

— Jesteś zawsze pełen planów. Nie dajesz się zaskoczyć. Ja zawsze. Dlaczego nie czynisz tego?

— Mnie się zawsze źle działo. Dopiero przy tobie nie. Jesteś niespodzianką, która nigdy nie staje się przyzwyczajeniem.

— Zostaniesz dziś na noc tutaj?

— Zostanę tu aż do chwili, kiedy śpiesznym krokiem wyruszę na dworzec.

— Nie musisz. Możesz wziąć taksówkę.

Niewiele spaliśmy tej nocy. Przebudzaliśmy się i kochali, i zasypiali, ciasno przywarci do siebie, budziliśmy się i rozmawiali, i znowu kochaliśmy się albo czuliśmy tylko nasze ciepło i tajemnicę ciała, złączonego, a przecież już na zawsze rozdzielonego. Wyczerpywaliśmy się przy próbie zmagania się z nim, wydawaliśmy okrzyki, jak przywołujące się konie, by zagrzewać się nimi do większego wysiłku, nieprzytomnie, wyrywające się ze źródeł podświadomości, nienawidziliśmy się i kochali, wrzeszczeliśmy nawzajem jak furmani, by głębiej wtargnąć w siebie, by z naszego mózgu usunąć wszystkie sztucznie wzniesione granice, by bliżej dojść tajemnicy wiatru, morza i zwierząt, obsypywaliśmy się wyrazami z żargonu kurew i pieszczotami kochanków, znużeni uspokajaliśmy się i oczekiwaliśmy głębokiej, brunatnej i złotej ciszy całkowitego odprężenia, kiedy nawet słowa sprawiają za wiele trudu i są zresztą niepotrzebne — leżą daleko, rozproszone jak kamienie po ulewnym deszczu — czekaliśmy, i ona przyszła, i była z nami, czuliśmy ją: tę ciszę, w której jest tylko oddech, nie ciężki, a leciuteńki oddech, ledwo poruszający płuca. Czekaliśmy i pogrążaliśmy się w tym, a Natasza pogrążała się głębiej, w sen. Ja zaś przyglądałem się jej z tajoną ciekawością, doznawaną zawsze przy śpiących, którzy jak gdyby o czymś wiedzieli, co przede mną zostało ukryte na zawsze.

Przyglądałem się jej rozluźnionej twarzy o długich rzęsach, która dzięki magicznej właściwości snu oddaliła się ode mnie i nic nie wiedziała o mnie, dla której wszystkie zaklęcia, krzyki i zachwyty sprzed godziny nie istniały, dla której również mnie tam nie było, mogłem obok niej umrzeć, a ona pozostałaby obojętna; przyglądałem się jej z ciekawością i pełen lekkiej trwogi, temu obcemu obok mnie człowiekowi, który obecnie był nie tym najbliższym, co posiadam, i nagle zrozumiałem, że posiada się całkowicie tylko umarłych, ponieważ oni nie mogą odejść. Wszystko inne pulsowało, zmieniało się, rozdzielało i przemieszczało, i nie było nigdy tym samym, czym było na początku. Jedynie umarli byli wierni. W tym tkwiła ich moc.

Nasłuchiwałem wiatru, który na tej wysokości prawie nieustannie hulał wokół domów. Bałem się zasnąć, odpędzałem przeszłość i obserwowałem twarz Nataszy, na której między brwiami ukazała się wąska zmarszczka. Przyglądałem się jej i przez krótki czas wydawało mi się, że byłem bliski czegoś, co wyglądało jak nieznane, łagodnie oświetlone miejsce, którego istnienia nie przeczuwałem. Doznawałem cichego, ekstatycznego zachwytu, którego miarą było przemożne uczucie. Zbliżyłem się ostrożnie bez tchu i w chwili, kiedy wykonywałem ostatni ruch, opuściła mnie świadomość i zasnąłem.

Przełożył z niemieckiego Aleksander Matuszyn. Powieść ta ukaże się nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego.

LEKTURA NA WAKACJE

ERICH MARIA REMARQUE

CIENIE W RAJU

(FRAGMENTY)

„ŹRÓDŁO Z"

Dalszy ciąg ze str. 1

• • •

Wszystko zaczęło się jeszcze na długo przed wybuchem wojny. Pod koniec września 1930 r. z inicjatywy Bertranda w ramach wywiadu francuskiego utworzono sekcję D, której zadaniem było gromadzenie szyfrowanych dokumentów oraz ich rozszyfrowywanie. Początkowo jednak, mimo usilnych starań wszystkich placówek wywiadu, nie udawało się zdobyć dokumentów o istotnym znaczeniu ani też pozyskać informatora, który mógłby ich dostarczyć. Dopiero we wrześniu 1932 roku wywiadowi francuskiemu zaofiarował swe usługi pracownik sekcji szyfrów Ministerstwa Obrony III Rzeszy, **„Asche"**. Dzięki 19 udanym misjom specjalnym, podczas których dostarczał on dokumentów fotografowanych, a następnie zwracanych przez pracowników francuskiego wywiadu, sekcja D uzyskała źródłowe dane o działaniu niemieckiej sekcji szyfrów i innych podobnych placówek. (Ogółem 303 dokumenty z adnotacją „ściśle tajne").

To właśnie stało się punktem wyjścia prac nad odkryciem tajemnicy „mechanicznego szyfrowania", jakim posługiwał się Wehrmacht, gdzie wprowadzono w tym celu maszynę o kryptonimie **„Enigma"**. **„Asche"** nie był jednak w stanie dostarczyć materiałów dotyczących konstrukcji maszyny oraz zasady jej działania. Bez tego zaś zadanie nie dawało się rozwiązać. Bertrand bowiem pragnął osiągnąć konkretny cel: możliwość „odczytywania" wszystkich tekstów szyfrowanych mechanicznie. W tej sytuacji postanowił zwrócić się z propozycją współpracy do „zaprzyjaźnionych" wywiadów, o których wiedział, że pracują nad tym samym zagadnieniem. Były to wywiady: **polski, czechosłowacki i brytyjski.**

„W wyniku pierwszych kontaktów oraz nadziei, jakie one wzbudziły — pisze Bertrand we wstępie swej książki **— zrozumiałem szybko, że trzeba znaleźć sposób, aby ta zdobycz wydała owoce, jeśli chce się osiągnąć wytyczony cel. Byłem sam w obliczu tej sytuacji, a moja wiedza w dziedzinie rozszyfrowywania nie była wystarczająca. Ze strony francuskiej nie miałem czego oczekiwać, najwyżej tego, że zdobyte dokumenty zostaną oddane szefowi sekcji szyfrów sztabu generalnego i starannie włączone do archiwum. Trzeba więc było szukać gdzie indziej, wśród zaprzyjaźnionych wywiadów, a ponieważ stosunki między wywiadami nigdy nie są bezinteresowne, bez względu na stopień zaufania i przyjaźni, trzeba było przyjść z „pełnymi" rękoma".**

Kilka dyskretnych sondaży wśród pracowników wywiadu polskiego ujawniło, że interesujące Francuzów zagadnienie jest tam przedmiotem studiów, lecz wywiad nasz nie miał żadnych możliwości zdobycia niezbędnych danych. Wywiad czechosłowacki również prowadził poszukiwania, lecz bez większych rezultatów. Jeśli chodzi o Intelligence Service, która posiadała ekipę techniczną wystarczająco liczebną i dysponującą odpowiednimi kwalifikacjami, to nie zdradzała ona większego zainteresowania sprawą nie uważając zagrożenia niemieckiego ani za pewne, ani za bliskie.

Toteż odpowiedzialni ludzie we francuskim Deuxieme Bureau doszli po naradach do wniosku, iż nie pozostaje nic innego, jak podjąć próbę zorganizowania wielostronnej akcji z zachowaniem całej niezbędnej dyplomacji, aczkolwiek działalność w Warszawie, Pradze i Londynie może przypominać błądzenie we mgle.

„Za aprobatą moich zwierzchników — pisze Bertrand — **uzyskałem pełną swobodę działania w tym zakresie, nałożono na mnie również pełną odpowiedzialność za tę akcję".**

Pierwsze kontakty w Polsce zostały nawiązane w grudniu 1931 roku za pośrednictwem przedstawiciela wywiadu francuskiego w Warszawie. Bertrand nawiązał łączność z odpowiednią agendą II wydziału sztabu generalnego, której szefem był niejaki **„Luc"**. Zawarcie znajomości z **„Lucem"** było, jak się okazało później, momentem przełomowym. Obydwie strony wywarły na sobie doskonałe wrażenie. Dokumenty, których Bertrandowi dostarczył swego czasu **„Asche"** zostały przyjęte jak manna na pustyni i otwarły natychmiast wszystkie drzwi. Dla **„Luca"** był to początek nowej ery w badaniach nad maszyną do szyfrowania **„Enigma"**. Obiecał on informować Bertranda na bieżąco o uzyskanych rezultatach, które obecnie miały się stać znacznie istotniejsze, gdyż dotychczas były dość trudno sprawdzalne lub nie znajdowały potwierdzenia. Sekcja, którą kierował **„Luc"**, była świetnie zorganizowana i dysponowała matematykami studiującymi całą sprawę już od 1928 roku wyłącznie na podstawie przechwytywanych meldunków, nie mając żadnej innej dokumentacji.

„Nawiązana została niezawodna i długotrwała współpraca w interesie każdej ze stron — pisze dalej Bertrand **— która przekształciła się w przyjaźń i została zapisana na kartach historii".**

Zanim uzyskano ostateczny rezultat Bertrand trzynastokrotnie kontaktował się z **„Lucem"** w Warszawie i tyleż razy — **„Luc"** z Bertrandem w Paryżu.

Podzielono między siebie terytorium niemieckie z punktu widzenia przechwytywania meldunków, aby otrzymać maksymalną liczbę szyfrów każdego dnia. Szyfrowane dokumenty wymieniano za pośrednictwem kurierów. To samo dotyczy ustaleń goniometrycznych, pozwalających usytuować wojskowe stacje nadawcze, których namiary zmieniały się codziennie. W Warszawie trwała gorączkowa praca.

„Uzgodniłem z „Lucem" — pisze Bertrand — **że należałoby stwierdzić, jakie rezultaty zostały osiągnięte w Pradze. Jednakże stosunki między Polakami i Czechami nie były dobre, po pierwsze z samej natury, po drugie zaś ze względu na sprawę Cieszyna. Liczono więc na mnie jako na tego, który zasięgnie informacji w Pradze i będzie pośredniczył między obydwoma wywiadami".**

Sprawy potoczyły się podobnie jak w Warszawie. Okazało się, że wyniki, jakie tu osiągnięto, były niewielkie, lecz szef sekcji czechosłowackiej **„Raul"** był bardzo zainteresowany współpracą, dopomogły także obietnice udostępnienia mu dokumentów otrzymanych od **„Asche"**. Sekcja czechosłowacka miała pewne interesujące pomysły, a także dysponowała innymi danymi z nasłuchu radiowego, niż posiadane przez wywiad polski, można więc było dokonać wymiany. Postanowiono nawiązać trójstronną współpracę. Aczkolwiek należało zachować dużą ostrożność ponieważ sztab generalny w Pradze, a tym samym służba wywiadu, były nader podatne na penetrację niemiecką.

Z biegiem czasu wzajemne zaufanie wzrosło. Przy okazji spotkania w Paryżu z **„Lucem"** i **„Raulem"** Bertrand poddał myśl zorganizowania bezpośredniej łączności radiowej z Pragą i Warszawą w celu przekazywania informacji o charakterze technicznym. Kontakt ten pod kryptonimem **B.L.R.** (inicjały trzech pseudonimów: **„Bolek"** — Bertrand, **„Luc"** i **„Raul")** zaczął funkcjonować w styczniu 1938 roku. Wspólnym celem, który należało osiągnąć za każdą cenę, „jedyną nadzieją i jedyną myślą" była maszyna szyfrująca **„Enigma"**.

W tym miejscu nieco historii. Pojawienie się pierwszych depesz szyfrowanych „mechanicznie" odnotowano w 1926 roku w łączności radiowej Kriegsmarine, później zidentyfikowano je sukcesywnie w łączności Wehrmachtu (od lipca 1928 roku), Luftwaffe (od sierpnia 1935 roku) oraz policji, SD i gestapo (od września 1937 roku). Równocześnie stopniowo eliminowany był „ręczny" proces szyfrowania, którym posługiwano się jedynie w wypadkach nadzwyczajnych (uszkodzenie maszyny), lub podczas okresowych ćwiczeń różnych formacji. W ten sposób szyfrowana łączność niemiecka stała się bardzo szybko „nieprzenikniona". W przededniu niemieckiej napaści na Polskę prawie cała wymiana informacji radiowych (militarnych i paramilitarnych) odbywała się z użyciem szyfrów otrzymywanych przy pomocy maszyny **„Enigma"** typu **Wehrmacht.**

A co myśleli sami Niemcy o ostatecznym modelu swej maszyny w momencie najbardziej zaawansowanych prac, tuż przed oddaniem jej w ręce użytkowników? Jeden z najlepszych niemieckich „analityków", który był również współodpowiedzialny za uruchomienie maszyny tak wypowiadał się na ten temat w 1932 roku:

„W momencie oddawania tej maszyny szyfrującej do użytku powstało pytanie, czy teksty sporządzone przy jej pomocy mogą być odczytane: a) przez nieprzyjaciela dysponującego jedynie tekstem szyfrowanym, bez żadnych danych co do zadań funkcjonowania maszyny; b) przez nieprzyjaciela dysponującego danymi, które posiadają użytkownicy (opis techniczny, zapis szyfru, elementy wymienne — oczywiście poza samą maszyną). W pierwszym przypadku stwierdzono absolutną niemożność. W drugim — należy przypuszczać, że posiadając bardzo liczne teksty z jednego i tego samego dnia i — o ile to możliwe — jednakowej długości, można, ujmując rzecz naukowo, osiągnąć rezultat oczywiście za cenę długotrwałej, trudnej pracy, której nie każdy kryptolog jest w stanie podołać. Zastosowano więc wszelkie środki, aby maksymalnie zróżnicować elementy oraz długość nadawanych depesz".

Tyle specjalista niemiecki. A więc jak widać z tego Niemcy byli pewni siebie. Tymczasem w Warszawie praca szła pełną parą. Lecz zadanie było trudne.

„Jednakże po Anschlussie obudziła się, jak to było zresztą do przewidzenia, Intelligence Service i nie miałem już — jak pisze autor — **kłopotu ze ściągnięciem ich do siebie, a później nawet do Warszawy. Udałem się w tym celu do Londynu, a entuzjazm, jaki wzbudziłem u kryptologów brytyjskich, był wprost szalony: zaczęli odkrywać to, o czym dotychczas nie mieli pojęcia. Dokumenty zdobyte od „Aschego" zrobiły furorę. Dawkowałem je powoli i domagano się wciąż więcej i więcej".**

Tymczasem **„Luc"** nie przysłał już z Warszawy pytań przeznaczonych dla „Aschego". Nie wiadomo, czy dlatego, że zdawał sobie sprawę, iż ten ostatni nie może już na nie odpowiedzieć (zmienił w międzyczasie miejsce pracy), czy też po prostu nie nie było potrzebne, bo wszystko niezbędne **„Luc"** sam miał już w ręku?

„Czekałem cierpliwie, aż „Luc" sam ujawni sytuację, wiedziałem bowiem — zaznacza Bertrand — **że w stosunkach z Polakami niezbędne jest maksimum dyplomacji. Czas jednak upływał i nie pojawiało się nic nowego".**

Był już grudzień 1938 roku i wszystko wskazywało, że wydarzenia na świecie potoczą się szybko. Wówczas to właśnie, Bertrand po dojrzałym — jak pisze — namyśle postanowił zaproponować dwa rozwiązania, jedno makiaweliczne jak drugie:

„— Jeżeli uznamy, że nie sposób osiągnąć celu damy do zrozumienia Niemcom, że ich meldunki są odczytywane (na dowód posługując się posiadanymi przez nas materiałami), aby spowodować zamieszanie i skłonić ich w ten sposób do zmiany systemu przy jednoczesnym pilnym obserwowaniu przez nas tej zmiany, szczególnie dla nich dotkliwej w przededniu wojny; ja sam — jak pisze Bertrand — **miałem ewentualnie zająć się tą operacją:**

— Jeżeli zaś istnieje jakaś nadzieja na sukces to powinniśmy zgromadzić się przy jednym stole — w Paryżu, pod auspicjami wywiadu francuskiego, — ekspertów polskich i brytyjskich w celu skonfrontowania uzyskanych już rezultatów. Być może jeśli wszyscy zechcą wyłożyć karty na stół, dyskusja ta wskaże nam drogę wyjścia".

Konsultowany wstępnie **„Luc"** przyczynił się do drugiego rozwiązania, uważając, że pierwsze należy pozostawić na wypadek, gdyby nie udało się dojść do niczego. W ten sposób wyraził zgodę na spotkanie pod egidą wywiadu francuskiego.

c.d.n.

ANDRZEJ BLAJER

FELIKS BĄBOL

USTRONIE— GMINA NADMORSKA

Bardzo szybko po wojnie Ustronie Morskie znalazło się na przetartym szlaku urlopowo-turystycznym Pomorza Zachodniego. Nikogo nie interesowało w jaki sposób półtoratysięczna osada rybacka, odwiedzana przed wojną przez niemieckich kupców i przemysłowców z Reichu, wytrzyma w sezonie „obciążenie" 30—40 tys. wczasowiczów. Od lat więc już nikogo nie dziwi, że te dziesiątki tysięcy ludzi spędza tu urlopy, chociaż osada nie ma kanalizacji ani wodociągów, chociaż nikt do tej pory na tzw. szczeblu nie zajął się nakreśleniem realnego planu rozwoju i rozbudowy miejscowości.

Jedna z sześciu gmin w powiecie Kołobrzeg — **Ustronie Morskie** „rozliczane" jest jako gmina wiejska, chociaż produkcją rolną zajmują się tu tylko dwa sołectwa — **Rusowo i Kukinia**, bo w **Sianożętach** nie ma już ani jednego rolnika, a i sołectwo Gwizd przestawia się coraz bardziej na obsługę turystów i wczasowiczów. Egzystuje w gminie jeszcze kilku specjalistów od hodowli trzody chlewnej i bydła, kilkadziesiąt gospodarstw odpowiada za wykonanie planów produkcji rolnej całej gminy, więc oczy naczelnika szukają już innej przyszłości dla Ustronia.

* * *

Stodoły i obory, szopy i wszelkie przybudówki przerobiono w Ustroniu na kwatery dla wczasowiczów, a wszystkie domy mieszkalne maksymalnie wyprzedaje się „na łóżka". Po 40 zł za dobę. Właściciele domków jednorodzinnych wynajmują swe metraże w całości hutom, kopalniom i zjednoczeniom na wczasy dla pracowników, sami gnieżdżąc się w piwnicach, szopach i na strychach. Przez cały rok — na podstawie umów — inkasują oni po tysiąc zł miesięcznie za pilnowanie tych kwater, za pilnowanie... własnych domów. Kilkudziesięciu obywateli Ustronia buduje własne domy, które już zostały „zaklepane" przez zamożne przedsiębiorstwa jako domy wczasowe dla załóg. Zdarza się, że z tego tytułu taki inicjator budowlany inkasuje w ciągu roku i 300 tysięcy zł za to, co i tak będzie jego własnością prywatną, a co już teraz zostało zakupione „na pniu" przez zakład. Dzięki takiej pomocy przemysłu wielu mieszkańców Ustronia mogło ukończyć budowę swych domów. Tworzy się tu więc warstwa „łóżkowych rentierów".

* * *

Wydaje się, że przyszłość Ustronia wyznacza dzień dzisiejszy tej miejscowości, ogromny napływ gości w sezonie, wielkie tempo rozbudowy zakładowych ośrodków wczasowych. Przyszłość Ustronia określają też wczasowe tradycje w okresie 30-lecia. Nie można zatem tak z dnia na dzień zamknąć dojazdu do gminy nadmorskiej tym wszystkim, którzy planują — siłą czasem rozpędu i przyzwyczajeń nawet nie popartych realiami — spędzenie tutaj swego urlopu czy wakacji. Ale dziś jeszcze Ustronie „ni pies ni wydra", ani wczasowisko z prawdziwego zdarzenia, ani miasteczko, ani wieś.

Na tłumy wczasowiczów z całej Polski spojrzy czasem przez okno swego gabinetu naczelnik **Andrzej Jakuć**. Trochę go irytuje ten ruch za oknem, pogodne twarze ludzi, którzy przybyli tu, aby nic nie robić, kiedy on — gospodarz gminy już drugi rok nie ma okazji nawet na kilkudniowy odpoczynek. Naczelnik ma 27 lat, pracował przedtem w powiecie, w Kołobrzegu, gdy przyszedł do Ustronia, czekała go robota pionierska. Trzeba było zaczynać od początku, od zera organizować gminę i władzę. Tego dnia pojechał rano do powiatu ze sprawozdaniami. Oddał jedne, przywiózł formularze innych. Gdy wrócił, zajął się bieżącymi sprawami gminy i w chwilach przerwy — wypełnianiem nowych sprawozdań. Przerywały mu tę robotę sprawy pilne, interwencyjne — dwie budowlane, trzy personalne. Dwóch handlowców prywatnych zgłosiło chęć otwarcia punktów sprzedaży warzyw i owoców. Chciał jeszcze tego dnia, jak planował od kilku dni, pojechać do Rusowa, aby omówić z gospodarzami sprawy rolne sołectwa, ale zrobił się już wieczór, więc ten wyjazd trzeba było odłożyć. Często musi odkładać sprawy na inny dzień, chociaż i tak nie raz wychodzi ze swego urzędu dopiero o północy.

* * *

Tak na marginesie „Idą" tu nie tylko warzywa i owoce. „Idzie" wata waniliowa produkowana na zmyślnych kołowrotkach, „pamiątki" czyli świecidełka i pierścioneczki, cała ta tandeta odpustowa. Tylko fryzjerzy narzekają. Bo „babki" same sobie kręcą włosy, a w modzie męskiej, zwłaszcza tej młodzieżowej, nadal króluje fryzura a la „Rumcjas" i „patriarcha", fryzura nie wymagająca wręcz opieki ze strony mistrza grzebienia.

Więc naczelnik tęskni do dnia, w którym będzie mógł nieco odsapnąć po tej już półtorarocznej harówce, do dnia, w którym będzie mógł uznać, że nowa struktura władzy gminnej już dostatecznie „zagrała". Nie jest to przecież łatwa sprawa. Jak dotąd, wiele wysiłku włożył on w rozwiązywanie ludzkich problemów, tworzenie właściwego klimatu wokół nowej władzy.

Fot. Archiwum

Postanowił najpierw znaleźć tzw. wspólny język z ludźmi z samego Ustronia i z rolnikami z sołectw. Trudności było wiele, bo gminę zamieszkuję barwny konglomerat charakterów, usposobień i mentalności — osadnicy z Wileńszczyzny Kieleckiego, Warszawskiego, osiedleńcy wojskowi. Ci ostatni mają tu swego patrona. Jest nim ppor. **Edward Łopuski**, który zginął w walkach o Kołobrzeg, o czym głosi kamienna tablica na budynku urzędu gminnego w Ustroniu. Oni mają swego patrona, a dzieci szkolne z Ustrona — własną jak gdyby kartę historii tej ziemi, pomocną w nauce.

W czasie poszukiwań przez naczelnika wspólnego języka z ludnością przekonał się on co do jednego — nie można rządzić gminą biorąc ludzi na krzyk. Nauczył się metody perswazji i wszędzie tam, gdzie na to zezwalają uprawnienia naczelnika, umacnia swój autorytet. Mieszkańcy poznali się już na naczelniku, więc objawiają coraz większe zaufanie. Dlatego może i sam naczelnik jako największy sukces osiągnięty w czasie swej półtorarocznej kadencji nie uważa bynajmniej uporządkowania ulic i chodników, za co są mu wdzięczni wczasowicze z całego kraju, osiągnięć hodowlanych **Rusowa**, ani wyróżnienia biblioteki jako jednej z najlepszych w województwie. Największą satysfakcję dlań stanowi doprowadzenie do zgody dwóch zwaśnionych rodzin.

— Pogodziłem je — wspomina — i obyło się bez chodzenia do sądu.

* * *

Sen z oczu naczelnika spędzają jednak nadal rozliczne sprawy. Na przykład najazdy „gitowców". Chmary ich snują się po Ustroniu od rana do nocy, część z nich działa z ukrycia, planując „skoki" i drobne kradzieże z włamaniem, „Gitowcy" i napływowi złodzieje niepokoją naczelnika, bo „własnych" kryminalistów i młodocianych przestępców tutejsza MO zna już dobrze. Potencjalnym źródłem obaw dla spokoju publicznego i prywatnej własności są autostopowicze pewnej kategorii. Tacy, co to mają 5 zł w kieszeni. Żeby jakoś żyć w obcym sobie terenie gotowi są na wszystko.

— Tam, gdzie są pieniądze — mówił naczelnik — tam się pije.

A do Ustronia pieniądze płyną przez trzy miesiące nieprzerwaną strugą. Za samą taksę kuracyjną i meldunki wpływa do gminy blisko półtora miliona złotych, kilkudziesięciomilionowe obroty notuje tutejszy handel. Naczelnik walczy więc z pochodnią tej okresowej prosperity Ustronia — z nadmiernym piciem. Zrobiono wiele dla ograniczenia alkoholizmu, ale kto ośmieli się likwidować hekatomby pijackie wybuchające raz po raz w tym czy innym lokalu? Ograniczono sprzedaż piwa, ale przecież nadal w ajencyjnych i prywatnych kioskach z rożnem magnesem dla klientów jest nie kiełbasa czy kurczę, a butelka piwa.

Walka z alkoholizmem jest trudna, jeśli w sukurs nie przyjdzie pogoda. Bo gdy pogoda — dzień wypełnia plaża i opalanie, gdy natomiast leje — kolejki przed sklepem monopolowym są kilkudziesięciometrowe. W ciągu paru godzin znika wtedy z półek sklepowych zaopatrzenie kilkudniowe. To wszystko sprawia, że tzw. organa żyją w atmosferze ciągłej czujności, a Kolegium w Kołobrzegu działa w trybie przyspieszonym. Rezultat — w ciągu miesiąca, który spędziłem w Ustroniu — nie wydarzyła się tu żadna większa rozróba.

* * *

Naczelnik ma spojrzenie na przyszłość Ustronia. Oczyma wyobraźni widzi piękną promenadę nadmorską, — tam gdzie teraz piaszczyste ścieżki i groźne usypiska. Widzi kanalizację i wodociągi — aby wczasowicze nie musieli, jak dzisiaj, „łapać" wody do umycia, bo dopływa ona do kranów tylko między 7 a 8 rano i 18—19 wieczorem. Widzi też rozsądne urbanistyczne zagospodarowanie miejscowości. Ale na to wszystko powinien być jakiś wyraźny placet województwa czy nawet resortu. Dopóki tego nie ma, trwa tu tymczasowość i budowlana partyzantka. Niektóre przedsiębiorstwa na przykład uzyskują prawem kaduka lokalizację na budowę — i już ją realizują — chociaż lokalizacje te kłócą się z racjonalną zabudową Ustronia (np. nowe ośrodki nad morzem, niemal na samych wydmach). Ta promenada kosztowałaby około 5 mln zł, ale dopóki Ustronie nie uzyska statusu miejscowości wypoczynkowo-wczasowej inwestycja ta jest nierealna, gdyż jako gmina może podejmować prace najwyżej za pół miliona złotych.

* * *

Naczelnika pasjonuje także sam człowiek, jego stosunek do świata i życia. Owego dnia, gdy składałem mu wizytę w urzędzie gminnym, z ogromnym przejęciem i oburzeniem pomstował na wręcz kapitalistyczne podejście pewnych ludzi, ubolewał, że na jego oczach utrwala się wypaczający obraz naszych dni model dorobkiewicza, cwaniaka stroniącego od pracy, że nawet w opinii publicznej o wartości ludzkiej nie decyduje to, co człowiek potrafi, w jakim stopniu jest użyteczny dla społeczeństwa, a — ile ma pieniędzy, ile izb do wynajęcia, czy i jaki ma samochód? Pomstował nad tym, bo taka postawa konsumpcyjna jest wysoce zaraźliwa. Wcale się więc nie zdziwił, gdy któregoś dnia młode pracownice domu wczasowego przy ul. Wiejskiej porzuciły pracę w kuchni, oświadczając, że nie przyjechały nad morze, aby obierać kortofle. Przez dwa dni wczasowicze z tego domu nie mieli co jeść.

— Pozornie — mówił naczelnik — wszystko jest w porządku. Z tych półtora tysiąca stałych mieszkańców część pracuje w GS, część w bazie maszynowej, w ośrodkach wczasowych jako kierownicy czy konserwatorzy. Ale w powietrzu czuje się ten miazmat dorobkiewiczostwa i braku szacunku dla zwykłej pracy. Jak to zwalczać?

* * *

Codziennie o świcie naczelnik sprawdza, czy ulice są posprzątane i zamiecione. Zaśmieca je dzień w dzień kilkadziesiąt tysięcy przybyszów, a w gospodarce komunalnej gminy jest... jeden człowiek odpowiedzialny za porządek i czystość. Bo taka jest etatowa obsada tego działu gospodarki w miastach do 3 tys. ludności. Znikomość możliwości działania naczelnika sprawia, że prawdziwym problemem i to — nie do rozwiązania — jest budowa dalszych trzech szaletów publicznych, elewacje wielu budynków, naprawa dalszych kilometrów chodników i jezdni. Często też trzeba chwytać się sposobu. Żeby skłonić pewne przedsiębiorstwo do pracy przy unowocześnieniu oświetlenia ulicznego, trzeba było temu przedsiębiorstwu przyznać najpierw lokalizację inwestycyjną o którą zresztą zabiegało od lat. Żeby przeprowadzić niezbędny remont budynku, naczelnik musiał z własnej kieszeni wyłożyć na zakup materiałów, gdyż w obawie progresji podatkowej nie chciał tego zrobić sam przedsiębiorca wykonujący remont. Żeby usprawnić ruch na jednej z ulic, trzeba było rozebrać starą ruderę, domek rybacki, figurujący w informatorach turystycznych jako zabytek. Domek już nie istnieje, ale w tych informatorach jeszcze figuruje...

* * *

Chodzę po Ustroniu i staram się nakreślić sobie jakiś model wczasowicza nadmorskiego lat 70-tych Patrzę więc na to wszystko, co się tutaj dzieje. Trzeba powiedzieć, że obraz wczasowicza roku 74 nie jest zbyt pociągający. Jeśli jeszcze jest to mieszkaniec jednego z takich domów wczasowych, jak „Janosik", „Dzikuska", „Pomorzanka", czy „Fala" — to pół biedy. Dbają o niego kierownicy ośrodków, a dzieci wczasowiczów mają gdzie spędzić czas na zabawie i rozrywce. Gorzej wygląda sytuacja ogromnej większości — owych 20-25 tys., które przybywają, aby wanająć kwaterę prywatną, albo z własnym namiotem.

Z własnym namiotem przyjechała tu większość zmotoryzowanych wczasowiczów. Uniezależnili się, jeśli chodzi o dach nad głową, ale jakim kosztem? Litość brała na widok umęczonych i zmarzniętych w dni niepogodne ludzi. Oprócz niewygód spania, kłopoty z wyżywieniem, godziny stracone w kolejkach po nabiał i pieczywo, po kartofle i konserwy. Nikt w tym roku nie zazdrościł zmotoryzowanym wczasowiczom.

Pełno tu ajentów i przygodnych inicjatorów od handlu czym popadnie — plackami ziemniaczanymi, kapeluszami słomkowymi, gumą do żucia itp. A „gitowców", którzy niepokoją naczelnika, otaczają gromady autostopowiczów z całego kraju, setki chłopców i dziewcząt bez twarzy, zarośniętych, kudłatych, manifestujących swój prymitywizm życiowy i pogardę dla stabilizacji. Duże odłamy tej młodzieży przesiadują w „Agacie", „Muszelce", czy „Ustroniance". Dyżurują tu dziewczyny z podkrążonymi od niewyspania oczami, w sukieneczkach ledwo okrywających pośladki. Prowadzą rozmowy towarzyskie z kim popadnie, a również z młodziutkimi kelnerkami, które w krótkich przerwach w obsłudze konsumenta bawią własne dzieci. Nie mają co z dziećmi zrobić, więc sadzają je na osiem godzin w kawiarni. Obsługa gości nie jest zbyt uciążliwa. Oto wchodzi czterech młodych ludzi.

— Zamawiacie coś? — zapytuje kelnerka.

— Herbatę.

— Ile herbat?

— Jedną.

Wypiją tę herbatę, posiedzą, poobserwują, obmyślą coś dla siebie i dalej. W przygodę — nie zawsze romantyczną i bezpieczną.

ROSYJSCY socjaldemokraci i POLSCY rewolucjoniści

Do coraz dłuższej listy autorów radzieckich, wnoszących wkład do poznania dziejów Polski, dołączamy dzisiaj nowe nazwisko. Aleksander M. Orechow jest badaczem, związanym z Instytutem Słowianoznawstwa i Bałkanistyki Akademii Nauk ZSRR, znanym dotąd głównie z interesujących przyczynków, dotyczących różnych aspektów wzajemnych stosunków i kontaktów rewolucjonistów rosyjskich i polskich w końcu XIX stulecia. Dzisiaj mam przed sobą jego książkę, ogłoszoną w zeszłym roku przez moskiewskie wydawnictwo „Nauka", a zatytułowaną: „Rosyjski ruch socjaldemokratyczny i polscy rewolucjoniści 1887—1893".

Jest to praca oparta o skrupulatną kwerendę źródłową, przeprowadzoną przez autora w zbiorach radzieckich i polskich; na samo zbadanie akt, znajdujących się w warszawskim AGAD, autor poświęcił kilka miesięcy pracy. Książka dotyczy problematyki tyleż ważnej, co mało dotychczas znanej. W naukowej literaturze polskiej dotykał tych zagadnień niedawno Zygmunt Łukawski w swojej książce o udziale Polaków w rosyjskim ruchu socjaldemokratycznym. Zakres problemowy badań A. M. Orechowa jest jednak znacznie szerszy. Uczony radziecki skupił swoją uwagę na pięciu kręgach zagadnień. Najpierw zajął się kształtowaniem poglądów rewolucjonistów rosyjskich i polskich na sprawę polską, na tle ówczesnej sytuacji społeczno-politycznej, śledząc paralelnie przemiany i rozwój różnych koncepcji w tej sprawie, formułowanych w ruchach rewolucyjnych polskim i rosyjskim. Drugi krąg zagadnień określa tytuł rozdziału: „Polscy socjaliści i ruch rewolucyjny w Rosji 1887—1893", trzeci zaś, to zagadnienie udziału polskich rewolucjonistów w utworzeniu i działalności Związku Robotniczego w Petersburgu w początku lat 90-tych. Wreszcie czwarta grupa zagadnień: kółka rewolucyjne w Moskwie i polscy studenci, oraz ostatni — piąty — któremu A. M. Orechow poświęcił osobny rozdział: „Warszawska socjaldemokratyczna grupa S. S. Iwanickiego — I. M. Pieskina (1891—1893)".

Nie sposób wyliczyć tu choćby ważniejszych tylko konstatacji, do jakich doszedł A. M. Orechow w oparciu o nieznane dotąd źródła, trudno też streszczać jego bogatą w historyczne konkrety książkę. Sądzę, że winna się ona doczekać polskiego przekładu i że nie powinniśmy nań czekać zbyt długo. Jako czytelnik zatrzymałem się dłużej nad rozdziałem ostatnim i omówionymi w nim dziejami rosyjskiej organizacji socjaldemokratycznej, działającej w środowisku studenckim (głównie, choć nie tylko) w Warszawie w początku lat 90-tych. A. M. Orechow uczynił to, czego nie zrobił nikt przed nim: ustalił skład osobowy grupy, co doprowadziło go do — moim zdaniem — zaskakujących wniosków. Tu moja uwaga wyjaśniająca. Wiadomo z literatury — zarówno polskiej, jak rosyjskiej — że władze carskie w związku z polityką rusyfikacyjną, prowadzoną na ziemiach polskich, starały się o ściągnięcie na rosyjski uniwersytet w Warszawie maksymalnej liczby studentów z głębi Rosji. Otwarto więc dostęp do studiów uniwersyteckich w Warszawie absolwentom prawosławnych seminariów duchownych z Rosji, których inne uniwersytety w cesarstwie nie przyjmowały na studia. I otóż okazuje się, że znaczna część twórców i działaczy rosyjskiej organizacji rewolucyjnej działającej w Warszawie składała się właśnie z... synów duchownych i wychowanków prawosławnych seminariów duchownych! Oto kilka nazwisk: przywódca grupy S. S. Iwanicki był synem duchownego, ukończył seminarium w Jekaterynosławiu, w Warszawie studiował nauki przyrodnicze; jego współpracownik W. A. Szumow był synem diakona, w 1880—1887 r. uczył się w seminarium w Rjazaniu, od 1887 studiował prawo w Warszawie; inni studenci — uczestnicy grupy — to syn duchownego K. A. Wołosowicz, syn diakona A. G. Archangielskij, synowie duchownych N. A. Andrusiewicz, O. I. Runkiewicz, F. P. Snjatinowskij... A więc młodzi ludzie, na których władze carskie liczyły, że staną się narzędziem rusyfikacji, okazali się być rozsadnikami rewolucyjnych idei; miast być rzecznikami wielkomocarstwowego nacjonalizmu, stawali się internacjonalistami i zwolennikami marksizmu! Z jakim oburzeniem oficer żandarmerii donosił, że jeden z członków grupy, W. A. Szumow, „nie patrząc na swoje rosyjskie pochodzenie" uczestniczył w polskiej demonstracji studenckiej w stuletnią rocznicę uchwalenia konstytucji 3 maja! Praktyczną działalność rosyjskiej socjaldemokratycznej grupy w Warszawie można sprowadzić — powiada A. M. Orechow — do trzech aspektów: po pierwsze — propagowania myśli marksistowskiej w środowisku studenckim, wśród rosyjskiej inteligencji a po części także polskich robotników; po drugie — dostarczenia z zagranicy i kolportowania literatury rewolucyjnej; wreszcie po trzecie — „pomocy polskim kręgom rewolucyjnym w nawiązaniu kontaktów z kółkami i grupami rewolucyjnymi w Rosji". Właśnie dzięki pomocy grupy Iwanickiego — Pieskina Związek Robotników Polskich mógł nawiązać stosunki z środowiskami rewolucyjnymi w Moskwie: było to możliwe dzięki kontaktom personalnym, zadzierzgniętym w Warszawie.

Trudno by nie zgodzić się ze zdaniem radzieckiego historyka, że w owych związkach i kontaktach rewolucjonistów polskich i rosyjskich w tamtych latach, wykuwały się podstawy dla dalszej rewolucyjnej współpracy na płaszczyźnie proletariackiego internacjonalizmu, że wreszcie „rewolucyjne związki, zadzierzgnięte na przełomie lat 80 i 90-tych, zostały umocnione i rozwinięte przez następne pokolenia marksistów Rosji i Polski". Jeżeli dziś lepiej będziemy mogli zrozumieć drogi kształtowania się współpracy rewolucyjnej Rosji i rewolucyjnej Polski, zasługa to wnikliwych poszukiwań historyków, wśród nich zaś A. M. Orechowa.

LEKTOR

Dalszy ciąg ze str. 1

ANDRZEJ MAKOWIECKI

MATKA PROFESORÓW

Co z resztą? Powstał palący problem zatrudnienia kobiet i kończącej szkołę młodzieży. Chłopi, których w mieście wciąż było dużo, dziergali jakoś na swoich poletkach. Niektórzy wyjeżdżali codziennie na zarobek do innych powiatów. Niektórzy dorabiali w rzemiośle.

Stanisława Chącia, jedna z siedmiu córek Piotra Parnowskiego sama już miała dorosłe dzieci, ba! były także dorodne wnuczęta. Jej życie wypogodziło się trochę: uprawiała z mężem pole, dorobili się jakoś nowego inwentarza. Ale chmura nad rodziną Parnowskich wciąż jeszcze kropiła nieszczęściem...

Znowu zabił żałosny dzwon. Inna z siedmiu córek Piotra Parnowskiego, Rafaela Bylka, została wdową. Jej mąż, skromny szewc, który nie miał nawet własnego warsztatu: drobne reperacje w domu i mizerny wyrób bucików, które sprzedawał na jarmarkach — poniósł śmierć pod kołami pociągu, osierocając pięcioro dzieci. Wdowa została sama na niewielkim gospodarstwie. Jej najstarszy syn, Stanisław, liczył wówczas trzynaście lat, a najmłodsza córka Ewa, była jeszcze w pieluszkach. Renty dużej nie dostała. Mąż za życia był przecież prywaciarzem, a takich w tym okresie nikt specjalnie nie kochał. Mocno musiała wziąć się w garść, żeby utrzymać dom za te tysiąc pięćset złotych od państwa, ale z czasem, kiedy synowie dorośli i zaczęli pomagać jej na roli, było już trochę lżej.

3.

W końcu lat pięćdziesiątych nieco lżej zrobiło się zresztą całemu powiatowi. Wprawdzie nie odkryto pod miastem złóż ropy naftowej ani pokładów węgla brunatnego, nie wybuchła w związku z tym żadna większa społeczna euforia, tak charakterystyczna dla sławnych budów socjalizmu: Nowej Huty, Tarnobrzegu czy Konina, ale na swój skromny gospodarski sposób, bez udziału wybitnych specjalistów i licznie napływających z centrali kadr, Wieruszów stawał się powoli schludnym miasteczkiem. Gruntowe drogi zamieniały się z każdym rokiem w pokryte asfaltem lub kostką ulice. Tu i ówdzie były już chodniki. Dość prymitywnie uzbrojony teren dał miastu wodociągi i kanalizację. Powstało kilka urzędowych gmachów: bank, magistrat, szpital, przychodnia zdrowia, ośrodek maszynowy i zarząd gospodarki komunalnej, co wzbogaciło w pewnym stopniu monotonną architekturę miasteczka. Jeśli chodzi o budownictwo mieszkaniowe, Wieruszów więcej remontował niż wznosił. Do roku siedemdziesiątego czwartego powstało tutaj zaledwie dziewięć bloków: dwa czteropiętrowce, spełniające marzenia ludzi o drapaczach chmur i siedem dwupiętrowców, które i tak górowały nad miejskim masywem. W sumie dało to mieszkania dwustu pięćdziesięciu siedmiu rodzinom.

Ruszył się także przemysł. Wieruszowskie Przedsiębiorstwo Terenowe, które do pięćdziesiątego piątego roku zatrudniało tylko pięćdziesiąt osób, produkując prymitywnym sposobem kozetki i tapczany, znacznie rozszerzyło swój asortyment: już nie tylko meble, także przedmioty metalowe: wieszaki, łyżki, maszynki do krojenia chleba... Załoga liczy teraz trzystu pracowników.

Nie uśmiechaj się! Wieruszów nie rości sobie pretensji do wielkich zakładów, a przecież odznacza się jakąś niezwykłą, wzruszającą zapobiegliwością — nie tyle pasją, co troską, nie snobizmem, a uczciwą świadomością własnych potrzeb. Wiem, iż nie od razu potrafię cię przekonać, że Wieruszów jest wspaniałym miasteczkiem i że nie ma sobie równych w kategorii aglomeracji pięciotysięcznych. Sam też nie od razu zrozumiałem, na czym polega wspaniałość Wieruszowa. Ale prawdziwe wartości zawsze zdołają się przebić i nikt nie potrafi ich zanegować.

Walczył Wieruszów o miejsca pracy dla kobiet. Walczył konsekwentnie przez dziewięć długich lat i wreszcie, na początku sześćdziesiątego czwartego roku, osiemset pięćdziesiąt wieruszowianek przystąpiło do stanowisk roboczych w utworzonej tu fabryce koszul męskich „Wólczanka".

O jakości tych koszul mówić nie będę — wszyscy nosimy je na wdzięcznych grzbietach. O samej fabryce pisało się już i mówiło przy wielu okazjach, dodam więc tylko, że władze wojewódzkie trafiły z jej lokalizacją w środek tarczy: właśnie tu był najwłaściwszy klimat dla tego przedsiębiorstwa, w równym stopniu przydatnego powiatowi co i reszcie kraju.

Dwieście osób otrzymało pracę w nowo powstałej wytwórni wód gazowanych i masarni. Sześćset zatrudnia obecnie Powiatowa Spółdzielnia Usług Wielobranżowych, której specjalnością jest już nie tylko uświęcone tradycjami szewstwo i krawiectwo, lecz również naprawa telewizorów, radioodbiorników, samochodów, sprzętu gospodarstwa domowego oraz usługi stolarskie, tapicerskie i remontowo-budowlane.

Mały a sumienny przemysł miasteczka i powiatu zatrudnia dzisiaj ponad dwa tysiące osiemset osób, a więc bez mała pięciokrotnie więcej niż przed dziewiętnastoma laty. W proporcjach wieruszowskich stanowi to poważny sukces.

— Problem kobiet zdołaliśmy rozwiązać w dziewięćdziesięciu procentach — mówi spokojnym, beznamiętnym głosem kierownik wydziału planowania w powiecie.

— Głównie dzięki „Wólczance??

— Jest także „Fonika", która kooperuje z przedsiębiorstwami łódzkimi. Nasze kobiety montują tu podzespoły radiowe...

— A co w perspektywach?

— Sto siedemdziesiąt kobiet otrzyma etaty w zakładach dziewiarskich, które ruszą jeszcze w tym roku, a produkować będą sweterki i bluzki.

— Czyli jest dobrze, panie kierowniku?

Marian Zimoch nie uśmiecha się. Z jego oczu czytasz, że bierze mnie za reportera-pochlebcę, który ma zamiar wysmażyć dla prasy huraoptymistyczny banał.

— Wieruszów zdobył przed dwoma laty tytuł wicemistrza gospodarności kraju. Mówi to coś panu?

Skwapliwie przytakuję.

Zimoch krzywi się pobłażliwie.

— Nie sądzę — powiada — aby umiał pan przełożyć to na język faktów. Nie sądzę, aby umiał zrobić to ktokolwiek spoza Wieruszowa i powiatu... Bez urazy, ale zrozumieć tę ziemię, jej historię i współczesność, to urodzić się tu, tu pracować, mieszkać, współżyć z ludźmi... Co panu mówią wyremontowane domy, wyasfaltowane ulice i drogi, które łączą Wieruszów z wszystkimi punktami regionu? Dwanaście lat temu, mniej więcej od połowy października do pierwszej dekady maja, część powiatu była całkowicie odcięta od świata. Nie było sił, żeby przebić się do takich Galewic, Osieku, Ostrówka czy Węglewic. Wyjeżdżone furmankami, wąskie i kleiste drogi zamieniały się pod deszczem i śniegiem w beznadziejne bezdroża, a wiosną przypominały bajora i grzęzawiska. Ale kiedy padło hasło: SZOSA DO KAŻDEJ WSI, chłop pokazał, na co go stać. Setki kilometrów asfaltu położyli rolnicy własnymi rękami, od rana do nocy furmanki wywoziły piach, a przywoziły kostkę, płyty i smołę. Dzisiaj jeżdżą tamtędy pekaesy i nie ma już białych plam na mapie. Wieruszowski chłop, który do niedawna wegetował w łatwopalnych chałupinach, wykazał się rozumem i przykładną ofiarnością. Już nie chodzi o to, że gorączkowo skorzystał z szansy unowocześnienia i zreformowania swojego gospodarstwa, że zrywał strzechy, wznosił parkany i dbał o poletko. Chodzi raczej o społeczny zryw, dążność do kolektywnego działania w zakresie takich przedsięwzięć jak budowa szkół, ochotniczych straży pożarnych i gminnych ośrodków kultury. Sporo tego typu placówek powstało w Czastarach, Sokolnikach, Bolesławcu, Osieku... Niektóre materializowały się w fantastyczny sposób przy udziale fantastycznych ludzi. Taki na przykład Franciszek Grabarz. Rzucił myśl wybudowania GOK systemem gospodarczym, bez angażowania fachowych przedsiębiorstw. Ludność Łubnicka uwierzyła Grabarzowi, zakasała rękawy, dała co kto miał: cegłę, wapno, transport, siłę swoich mięśni i oto w niecałe dwa lata stanął we wsi obiekt godny każdego miasteczka. Jego wartość inwestycyjna wynosi prawie dwa miliony złotych, z czego połowę wypracowała wiejska społeczność... Jakkolwiek tytuł wicemistrza gospodarności otrzymał sam Wieruszów (miasto), wszyscy obywatele traktują to również, jako wyróżnienie powiatu. W powiecie nastąpił coś jak gdyby cud. Ziemia tu licha, czwartej i piątej klasy, gospodarstwa niewielkie, rozdrobnione, a przecież plony są świetne, jedne z najwyższych w województwie...

— Czemu to przypisać?

— Wysokiej kulturze upraw, właściwemu nawożeniu, ofiarności rolników, a może również temu, że naczelnik powiatu jest specjalistą w dziedzinie rolnictwa... Siedemdziesiąty trzeci rok przyniósł także rekord w dziedzinie hodowli żywca. Ale nie utrzyma się długo. W siedemdziesiątym czwartym pobijemy go o trzydzieści procent; z trzydziestu ośmiu tysięcy sztuk skoczymy do pięćdziesięciu jeden tysięcy.

4.

Słucham i notuję, czując jak ogarnia mnie sympatia do tego mrukliwego, panującego nad dumą człowieka. Jest jednym z tych, którzy ukończyli studia w wielkich miastach i — wrócili.

Spacerujemy ramię w ramię po wymiecionych do czysta uliczkach. Zimoch nie ukrywa przede mną powiatowych niepokojów i kłopotów. Prosna była kiedyś piękną rzeką... Jak człowiek stanął na moście, widział dno i chodzące po nim ryby, które można było łapać na zagiętą agrafkę. Teraz Prosna jest zapaskudzona: brak właściwej oczyszczalni ścieków. Woda, którą czerpie się z rzeki do mieszkań, jest żółta i niesmaczna. Oczywiście, robi się wszystko, aby nie rujnować natury. Są widoki na nowy wodociąg i lepsze filtry ściekowe. Ale nie wszystkie problemy można do końca załatwić gospodarskim sposobem. Tymczasem miasteczko rozrasta się: w tym roku Budownictwo Spółdzielcze zrobi początek, oddając ludziom swoje piękne dwa bloki (sto trzy mieszkania), a budownictwo indywidualne na osiedlu Kąty wzbogaci Wieruszów o pięćdziesiąt trzy domki jednorodzinne.

Zimoch bez wstydu wchodzi ze mną do wszystkich trzech restauracji, piwiarni i baru mlecznego, wiedząc, że nie spotka tam nas żadna przykra niespodzianka. Pytam o kawiarnię. Zimoch wskazuje mi ręką ustawiony na potężnych, betonowych podestach samolot.

— Pan żartuje — mówię.

— Nie.

— Ale jak do tego doszło?

— Ano, nasi chcieli kupić jakiś używany autokar dla potrzeb Rady Zakładowej. Któryś miał kuzyna w Ministerstwie Komunikacji, dzięki czemu, kiedy znaleźli się w Warszawie, pokazano im kilka starych gratów, kursujących pomiędzy Okęciem i Śródmieściem. Na Okęciu jakiś dowcipniś zwrócił się do naszych: „Nie lepiej to kupić samolot?" A nasi „Jeśli można, to chętnie kupimy." I zaczęli chodzić wokół sprawy. Stanęło na tym, że zapłaciliśmy tylko za transport, a Iła dostaliśmy za darmo. Założyliśmy w nim elektryczność, doprowadziliśmy wodę, no i mamy dzięki temu jedyny w województwie lokal kategorii „S", który cieszy się ogromnym powodzeniem przyjezdnych i miejscowych.

Czuję się znokautowany. Zimoch tymczasem ma w zanadrzu kolejne niespodzianki...

— Naszym ludziom trzeba tylko stworzyć ideę. Kiedy powstała idea parków, zbudowaliśmy w czynie społecznym aż dwa. Kiedy miasto zaczęło dusić się od smrodu spalin a rynek nie mógł już pomieścić wszystkich tranzytowych pekaesów, zbudowaliśmy obwodnicę i — z dala od centrum — dworzec autobusowy, przy którym pracowała społecznie większość dorosłych mieszkańców. To samo można powiedzieć o przystani wodnej i ośrodku kampingowym, który w sezonie służy zarówno Polakom, jak i naszym rodzinom z Belgii i Francji. Nie wstydzimy się tych domków — są przecież murowane, wyposażone w lustra, szafy, fotele, umywalnie z bieżącą wodą i wygodne tapczany. Jeden Francuz powiedział, że i na Zachodzie lepszych się nie zobaczy. Ale do rzeczy — zbudowaliśmy również w czynie społecznym kilka boisk, stadion sportowy oraz sporo innych obiektów użyteczności publicznej; wyremontowaliśmy w mieście i powiecie niemal wszystkie godne uwagi zabytki kultury.

— A czego brak daje się wam najbardziej we znaki?

— Długo by o tym mówić. Nie licząc objazdowego, mamy tylko jedno kino w powiecie, konkretnie: w Osieku i jedno w Wieruszowie. To ostatnie korzysta z pomieszczeń Ochotniczej Straży Pożarnej, toteż zaczynamy rozważać plan budowy nowej, obszernej sali projekcyjnej, a także nowej siedziby dla Powiatowego Domu Kultury, którego sekcje nie mieszczą się już w dzisiejszym budynku. Młodzież i w ogóle wszyscy ludzie w mieście cierpią na niedosyt wrażeń artystycznych: chcieliby wreszcie doczekać się placówki, gdzie można by swobodnie potańczyć, posłuchać muzyki, zaprosić bez wstydu jakąś znaną osobistość: literata czy aktora. Z chwilą, kiedy Prosna przestała być rzeką czystą, powstał także problem kąpieliska. Nie wiem jeszcze, jak z niego wybrniemy; może basen na akwenie, może kryta pływalnia?... Swoją drogą, żal mi tej Prosny. Łódki, kajaki teraz po niej pływają, ale dla człowieka i ryb jej woda stała się niebezpieczna.

5

Od kilku miesięcy cały powiat zbulwersowany jest wieścią, że decyzją Rady Ministrów powstanie na terenie Wieruszowa pierwszy wielki zakład przemysłowy.

Będzie to fabryka płyt wiórowych: surowca stosowanego do produkcji mebli.

W pierwszym etapie: od czwartego kwartału 1974 roku do drugiego kwartału 1976, powstaną na wydzierżawionych już terenach zasadnicze hale i magazyny, w których znajdzie pracę siedemset osób.

W drugim etapie pracować tu będzie ponad tysiąc dwustu obywateli z Wieruszowa i powiatu, a wartość inwestycyjna całego obiektu wyniesie ponad dwa miliardy złotych.

Dla wieruszowian są to cyfry astronomiczne, a dla wtajemniczonych — szokujące, albowiem dotychczasowe, roczne nakłady na cały region nigdy nie przekraczały dziewięćdziesięciu milionów złotych.

Dla mieszkańców powiatu jest to okoliczność niezwykle pomyślna, jeśli się oczywiście weźmie pod uwagę, że wielu z nich, kilkuset, aktualnie jeszcze marnuje czas i energię wędrując każdego dnia zatłoczonymi autobusami do pracy w ościennych powiatach.

Dla miasta stanowi to szansę dalszego rozwoju budownictwa mieszkaniowego, komunikacji, kultury oraz sieci handlowo-usługowej, a także ożywionych kontaktów i kooperacji przemysłowej z wieloma ośrodkami w kraju.

Dla córek Piotra Parnowskiego... No właśnie... Czym będzie dla nich ta pierwsza wielka inwestycja?

— Boję się, żeby nie wjechali na moją ziemię — mówi Stanisława Chącia. — Co dzień z mężem wyglądamy przez okno, czy aby nie idzie do nas jakiś urzędnik, żeby kupić na siłę nasze gospodarstwo.

— Chętnie bym sprzedała swoje pole — mówi Rafaela Bylka. — Nie mam już siły, żeby je uprawiać, ale coś mi się zdaje, że leży ono poza terenem zakładów.

— Za nic w świecie nie opuściłabym mojego domu — mówi Stanisława Chącia.— Tu urodził się mój ojciec, ja i wszystkie moje dzieci. Tu się wychowałam i tu chcę umrzeć.

— Pewnie, że poszłabym do bloków — mówi Rafaela Bylka, mieszkająca z siostrą pod tym samym dachem. Na starość należy się chyba człowiekowi wygodniejsze życie...

A więc konflikt... cichy, nie uświadomiony, póki co — nie przyobleczony w gorzkie słowa konfliktu siostrzanych interesów.

Stanisława Chącia wiernie trzymała się przez całe swoje długie życie rodzinnych tradycji, a dzieci jej poszły tą samą drogą.

Rafaela Bylka, wdowa po skromnym szewcu, całe swoje długie, trudne ale i piękne życie poświęciła wykształceniu potomstwa...

Już w szkole podstawowej, a później w liceum było wiadomo, że trzej synowie i dwie córki Rafaeli Bylki odznaczają się wybitnymi zdolnościami. Nie znaczy to wcale, że rodzeństwo odmawiało matce pomocy w zajęciach gospodarskich. Wszyscy sumiennie pracowali na roli, orząc, bronując, kosząc, zbierając kartofle i dojąc krowy. Ale każdą wolną chwilę poświęcali nauce, a Rafaela Bylka robiła wszystko, aby tych wolnych chwil było jak najwięcej.

Obecnie kariery całej piątki są przedmiotem powszechnej zazdrości i podziwu.

Stanisław Bylka już dawno zrobił doktorat, a teraz, będąc pracownikiem Uniwersytetu Warszawskiego, przygotowuje pracę habilitacyjną z dziedziny matematyki, a więc w wieku trzydziestu dwu lat ma szansę zostać docentem.

Czesław Bylka, który nie skończył jeszcze trzydziestu lat, również jest matematykiem i wychowawcą młodzieży na Uniwersytecie Poznańskim. Jego praca doktorska jest już do wglądu w akademickiej bibliotece.

Dwudziestosiedmioletni Henryk Bylka, inżynier, wykłada na Politechnice Poznańskiej budownictwo lądowe oraz zajmuje się na łamach tamtejszej prasy fachową publicystyką.

Dwudziestoczteroletnia Maria Bylka uzyskła niedawno tytuł magistra farmacji.

Najmłodsza z pięciorga, dwudziestoletnia Ewa Bylka studiuje stomatologię i nikt nie ma wątpliwości, że dorzuci swój dyplom do kosza rodzinnych sukcesów.

Cała piątka utrzymuje żywy kontakt z matką. Kiedy któreś z dzieci przyjeżdża do Wieruszowa, pod skromnym, drewnianym domkiem nie żyjącego już Piotra Parnowskiego robi się ogromny tłok. Wszyscy chcą zobaczyć „profesorów", pogadać z nimi, uścisnąć im rękę, ubłagać dla syna lub córki korepetycje z matematyki, dowiedzieć się, co słychać w wielkim świecie.

„Profesorowie", aczkolwiek mają świadomość trudnej drogi, która wiodła ich do sukcesu i poczucie własnej wartości, nie zadzierają nosa. Ich awans jest przecież także awansem miasteczka, którego droga do dzisiejszych sukcesów również nie była usiana różami.

WIENIEC DOŻYNKOWY

Szedłem ścieżką polną do stolicy gromady — z daleka już słychać było rozśpiewane głośniki. To w wigilię święta plonów ekipa techniczna z powiatowego miasta założyła je przy remizie, na gruszy i w szczycie stodoły sołtysa. Popularyzowały one wśród zebranego ludu piosenki najnowsze.

Rozpoczynały się uroczystości dożynkowe. Na trybunę wszedł gospodarz dożynek; w głośnikach zabrzmiał jego głos: Obywatele! Rolnicy! itd. Kończąc przemówienie oznajmił, że za chwilę ruszy korowód dożynkowy. I zaraz, zza zakrętu drogi ukazał się chłop w stroju ludowym — szedł na czele pochodu. Za nim kroczyły delegacje kobiet i młodzieży, niosące wieńce poplonowe. Potem droga wysypana szlaką zadudniła, powiało czarnym kurzem. Ruszyły traktory ciągnące pełne zestawy maszyn żniwnych i omłotowych. Na końcu pochodu szli dwaj rolnicy i z płacht białych posiewali na zebranych dorodnym ziarnem.

Przed trybuną stanęły delegacje z wieńcami, i po chwili każda z nich, reprezentująca wieś czy organizację działającą we wsi, wręczała wieniec wybranemu z trybuny dostojnikowi odśpiewawszy „ulubioną" zwrotkę z podglebia.

Wieniec od Koła Gospodyń z Górki Laickiej otrzymał przewodniczący gromady. Był to wieniec w kształcie ołtarzyka, w którego środku widniało serce. Podobno w tym kole, od którego ten wieniec pochodził, przeważają kobiety najbardziej aktywne, jednocześnie należące do Kółka Różańcowego.

Wieniec od młodzieży z Pobliska złożony został przedstawicielowi z powiatu; w wieńcu tym uwydatniały się wplecione kwiaty i zioła. A wieniec od Kółek Rolniczych — przypominał on koło od traktora — podjął reprezentujący je z wyższego szczebla. Zaś wieniec w formie kosza, w którym zobaczyć można było śliwki, gruszki, marchewkę, podsunięto prezesowi GS. Ta „martwa natura" w wieńcu przykrywała, według wtajemniczonych rzeczoznawców, butelkę samogonu. Wieniec dostarczyli delegaci Ligi Chłopów, ponoć organizacji nadziemnej, nie wiadomo skąd przybyli.

Dożynki uświetnili przedstawiciele prasy. Redaktorzy z „Życia Pszenicy" i „Głosu Rogacizny" wyposażeni w aparaty z fleszami siali zdumienie i niemal przestrach (jakby metafizyczny) wśród zgromadzonego społeczeństwa tutejszej okolicy. Natomiast u miejscowego korespondenta współpra-

cującego z prasą ludową zauważyć można było wystający mu z kieszeni u spodni łebek butelki.

Wszyscy przeżywaliśmy chwile grozy, gdy wścibski fotoreporter z „Życia Pszenicy" zbliżył się do jadącego w korowodzie wozu ze zgrabkami, by zrobić zdjęcie powożącej pięknej dziewczynie z warkoczami i w stroju regionalnym. Od błysku magnezji zapalił się wóz ze zbożem poślednim. Ten nieprzewidziany „punkt" w programie uroczystości ugaszony został szybko przez zmotoryzowanych miejscowych strażaków.

Dały się słyszeć śmiechy i słowa oburzenia. Oczywiście najbardziej oburzony był wspomniany korespondent. Wyjął nawet butelkę z kieszeni i jej zawartość wylał na tlącą się głowę fotoreportera. W ten sposób zlokalizowano pożar — jak pisał nazajutrz w notatce prasowej.

Przez jakiś czas trybuna była zasłonięta dymem. Po rozwianiu go przez wiatr, żadnych zmian na trybunie nie było widać. Klaskano nadal. Aż do zakończenia części artystycznej, po której rozpoczęła się zabawa ludowa.

Wydawać by się mogło, że zabawa ludowa jako taka powinna być uważana jako dalszy punkt części artystycznej. To rozgraniczenie jednak było uzasadnione następstwami, które spowodowały, że autor tej powiastki nie był w stanie jej spuentować...

FELIKS RAJCZAK

JEDEN MOCNY GOŚĆ i TO WSZYSTKO

I

Matka — mniej więcej tak:

— Kazieczku kochany, to po tosmy to ciebie kształcili, potoś ty na politechnikę chodził, po to tyle starania, tyle mordęgi, tyle pracy, żeby teraz wszystko na nic, wszystko ot, jak perłę w błoto rzucić; po to ciebie wychowaliśmy, po to o ciebie dbaliśmy, żebyś ty teraz do jakiegoś lasu wyjeżdżał, przecież magistrem jesteś, przecież tu cię ludzie szanować będą, a tam co? Wilki cię tam chyba będą szanowały? Do czegóż to podobne, żeby tyle lat się uczyć i na koniec w lesie siedzieć. A jak zachorujesz to co? No powiedz, syneczku, no co wtedy? Zające cię będą doglądały czy jakie inne zwierzaki? A niech ci się co nie daj Boże stanie, to co wtedy? I do nikogo ust otworzyć. Serca dla starej matki nie masz i szacunku dla rodziny. I wstyd przynosisz. Co ludzie powiedzą o nas? Skończył politechnikę i w lesie siedzi jak jaki dziki...

Ojciec — krótko i węzłowato:

— Masz swoje lata. Jesteś dorosłym człowiekiem. Wiesz co robisz. Przemyśl. Pamiętaj tylko, że jak sobie pościelisz, tak się i wyśpisz.

Siostra starsza (lekarz, mężatka, mąż inżynier, jedno dziecko, samochód, mała polska stabilizacja) — z nutą pogardy:

— Idiota. Ale w najporządniejszej rodzinie trafić się taki może (wymowne wzruszenie ramionami).

Siostra młodsza (studentka) — ciepło:

— Stary, masz rację. Człowiek musi szukać swojego miejsca na ziemi! Masz moje błogosławieństwo, nie daj się zjeść tygrysom czy innym dzikom bo mi będzie żal. A wiesz, że łzy psują nam makijaż. Całuję w czółko.

Narzeczona (koleżanka ze studiów, ładna, inteligentna, przedsiębiorcza, też z tzw. dobrej rodziny) — bardzo chłodno i stanowczo:

— Ty mnie nie kochasz. Nigdy mnie nie kochałeś. Gdybyś mnie kochał, to byś nigdzie nie wyjeżdżał, wziął asystenturę, co ci ją proponują i jakoś by to było. Kazik, pamiętaj, jeżeli wyjedziesz to z nami koniec. Ja tam nie mam zamiaru życia na zadupiu jakimś zmaronować. Z Warszawy do lasu — puknij się ty w głowę, człowieku z dyplomem. Pan magister od dzięciołów się znalazł. O! (próba łez).

Przyjaciel (serdeczny, od szczeniaka się znają) — klepiąc po plecach:

— Staruszku, a nie popadnij tam w nałóg czasem. A tak na marginesie, to frajer jesteś. Pozwól sobie to powiedzieć stary. Profesor cię ceni, mieszkanie by pomógł załatwić. Miałbyś asystenturkę, chałtura by się trafiła taka i owaka, wyjazdy za granicę, konkursy, sympozja, stypendia. Doktorat mógłbyś nawet machnąć, albo nawet drugą Ścianę Wschodnią zbudować. Ziuk, pomyśl kto dziś w lesie siedzi?

Ciotka Janka (w rodzinie uważana za dziwaczkę, ekscentryczkę i cfut, ciut sfiksowana) — stanowczo, ciepło:

— Kazik ma rację. Jest młody. Życie przed nim. Niech spróbuje. Od takich rzeczy się nie umiera.

Bohater opowieści — na pozór pewnym głosem:

— Słowo się rzekło, kobyłka u płota. Nie mierzi mnie sznur samochodów, ale lepiej chodzi mi się leśnymi duktami niż po Krakowskim Przedmieściu czy Jerozolimskich. Amen.

II

U północno-wschodnich wybrzeży Australii, z środka samego spienionych i skołtunionych grzywaczy wynurza się mała, skalista wysepka. Nie pomnę jej nazwy, zresztą nie ma ona większego znaczenia. Gdzieś, pośród ogromu oceanu sterczy sobie niewielka skała, a na niej, jak wykrzyknik, latarnia morska ostrzegająca żeglarzy o niebezpieczeństwie podwodnych raf. W latarni morskiej — latarnik Chłop na schwał, z brodą jak viking, z uśmiechem na całą gębę i na dodatek z dyplomem inżyniera-chemika w kieszeni. Na wyspie, poza nim, kotem i stadami ptaków morskich przysiadających tu w swych przelotach od lądu i od morza nie ma nikogo. Facet siedzi na tej skałce już osiem lat. Przedtem zjeździł pół lub więcej świata, a potem znalazł sobie to swoje miejsce na ziemi. Pokochał wyspę, latarnię i samotność. Wyspa pokochała jego. Latarnia, co jako żywo przypomina wykrzyknik, stała mu się domem. — A kiedy przyjdzie mój czas — powiedział kiedyś dziennikarzowi latarnik — niech ocean, o, ten, tam w dole, stanie mi się grobem.

Romantyzm czy mizantropia?

Ucieczka czy świadomy wybór?

Strach czy odwaga?

Pokora czy duma?

Ów latarnik, co najpierw chciał być chemikiem i zrobił w tej sprawie wszystko, co do niego należało, jest jednym z najpoczytniejszych pisarzy powieści kryminalnych i fantastyczno-naukowych w krajach anglosaskich.

III

Bohater opowieści (mężczyzna więcej niż średniego wzrostu, krępy, były sportowiec, taternik — parę znakomitych podejść w Tatrach, Alpach, w górach Kaukazu, o ruchach nieco powolnych, można by rzec, leniwych, zielone oczy w smagłej twarzy. Patrząc na niego odnosi się nieodparte wrażenie, że to i inteligencja i upór i to co bodajże najważniejsze w człowieku — cywilna odwaga. Właściwie to gotowy wzorzec bohatera pozytywnego; nic, tylko wziąć i powielać. Jeno te oczy zielone; podobno fałszywe? niewierne? ponoć często spotykane u anarchistów i wolnomyślicieli, chociaż, o ile mnie pamięć nie myli, zielone oczy miało także paru porządnych facetów.):

— Panie redaktorze, w mojej historii, dla mnie w każdym razie, nie ma niczego dziwnego, niezwykłego. Owszem, opowiem ją panu chętnie, tylko prośba: niech pan będzie tak uprzejmy i zmieni nazwiska, miejscowości. Po co mamy do spółki komuś tam przykrość robić. Mnie rodzina do dziś uważa za wariata, jeżeli nie za skończonego idiotę. Dawni koledzy traktują mnie protekcjonalnie, niektórzy z nich nawet nie bardzo sobie dziś przypominają, że razem chodziliśmy na politechnikę. Na szczęście rzadko, bardzo rzadko spotykam się z nimi, bo ani oni mnie, ani ja ich nie szukam. Zresztą, wie pan, ja tu jestem poniekąd „przypisany do ziemi". Stąd, gdzie jestem, ruszyć się gdziekolwiek nie tak łatwo. Ale ja wiem, że znalazłem swoje miejsce i że powinienem być tu, a nie gdzie indziej. Wie pan, to miejsce na ziemi, o którym marzy chyba każdy w skrytości ducha, jest czymś w dzisiejszym świecie bardzo ważnym. Zresztą, chyba zawsze było to ważne. Cóż, niewielu tylko ma odwagę tak prawdziwie szukać tego miejsca, i kiedy go już znajdzie — pozostać tam. Miejsce na ziemi. Swoje własne miejsce na ziemi — niech pan mi wierzy, że to wielka sprawa. Życie jest jedno i na dodatek krótkie. Truizm, slogan; ale dla mnie to było motto. Punkt wyjścia. Stąd może brały się narty i dziesięciobój, który uprawiałem, stąd moje łażenie po górach, stąd wygrane konkursy zagraniczne jeszcze za studenckich czasów, stąd wreszcie mój skręt o 36° i kurs w zupełnie inną stronę — o tu, do tego miejsca, gdzie siedzimy sobie teraz i gadamy. Zawsze pogardzałem ludźmi, którzy szli na kompromisy, ugody, wygodne i łatwe rozwiązania. Dlatego też nie obeszło się bez odrobiny goryczy i smutku. Ale przyznasz mi pan rację, że dróżka życia usiana różami to ścieżynka dla tych, którzy się w gruncie rzeczy nie liczą, chociaż czasami oni to właśnie mają najwięcej do powiedzenia...

Za oknami szum lasu; głosy lasu i deszczu przemieszane ze sobą w jedną, czystą, harmonijną całość. Jest w tych dźwiękach dochodzących z zewnątrz jakaś pierwotna, odwieczna siła potrącająca w nas tajemne struny. Mam wrażenie, jakby te dźwięki z puszczy, z deszczu, z jeziora, z nocy która spowija to wszystko nieprzeniknioną opończą, wpływały we mnie przemożną falą, oczyszczały mnie i wypełniały innymi wartościami, które już kiedyś (wiem to teraz na pewno) były moją własnością, były we mnie; w dzieciństwie? a może jeszcze wcześniej to było gdzieś u prapoczątków mojego gatunku, gdy zespolony z naturą stawiałem pierwsze kroki na drodze, która dziś kończy się na Księżycu, a już jutro może wybiegnie poza granice naszego systemu słonecznego.

Kiedy tu przyjechałem, do tej chaty drewnianej, miałem zamiar połazić po lesie, połowić ryby w jeziorze, odpocząć od miasta, codziennych spraw i sprawek; chciałem wyprząc się z kieratu codzienności na te kilka dni, a przy okazji, aby z tego kieratu nie wyprząc się całkowicie i nie wypaść z rytmu" — (ech, życie, życie!) napisać coś tam o facecie, co skończył wyższe studia i wyjechał w puszczę, żeby robić coś zupełnie innego; o facecie co siedzi gdzieś tam samotnie, bo może nie przepada za ludźmi, jest zdziwaczałym samotnikiem; zresztą powiem szczerze, że jadąc tu żadnego zamysłu konkretnego nie miałem i szukałem po prostu pretekstu dla tych ryb, dla lasu, usprawiedliwienia dla kilkudniowego lenistwa.

I oto zaskoczenie (nie pierwsze w mojej karierze dziennikarskiej): jawi mi się tu nagle człowiek nielichego formatu, człowiek o bogatej osobowości, który przemyślał wiele i postanowił żyć wedle pewnych zasad. Ten siedzący przede mną młody mężczyzna zapragnął głębiej harmonii, zapragnął tak skonstruować system swojej egzystencji, aby poszczególne jej elementy pasowały do siebie, miały odpowiednie proporcje, odpowiednie dla jego własnej, człowieczej skali.

Zdałem sobie sprawę, że stanąłem wobec przypadku skrajnego, w obliczu sytuacji wyjątkowej, która z równym powodzeniem może zasadzać się na fałszu co i na prawdzie. Jestem więc ostrożny. Jestem jak ów niewierny Tomasz, którego przekonać mogą tylko fakty niepodważalne w swej realności, bo przecież model życia, który oferuje mi tu, w jakże kuszącej scenerii ten człowiek, może okazać się niczym innym jak tylko wypadkową słabości i tchórzostwa, ucieczki od odpowiedzialności, niemożnością podjęcia wyzwania, zejściem na boczny tor.

Więc słucham pilnie. Patrzę. Ważę. A las, deszcz, noc, wlewają się we mnie potężną falą...

IV.

Bohater opowieści ((sweter, dżinsy, skórzane do pół łydki buty, pod szyją jakaś chustka, skórzana kamizelka rozpięta, na ręce zegarek, który wskazuje wszystkie czasy na całym świecie, rok, dzień, miesiąc i strony świata, twarz opalona, ręce opalone, pewnie cały jest opalony, spojrzenie tzw. czyste; cholera! nic tylko go wziąć i zataszczyć przed kamerę (i jeszcze ta szklanka gruba, kryształowa w łapie z oryginalną whisky, grzechocząca kostkami lodu):

— Matka chciała, żebym poszedł na medycynę, ja chciałem na archeologię albo na historię. Targiem — targiem stanęło, że pójdę na architekturę. Politechnika, dyplom inżyniera itd. Zresztą ojciec też był inżynierem. To już był jakiś konkretny zawód, który dawał jakąś pozycję. Starsza siostra studiowała medycynę, ja miałem być inżynierem architektem. Przyznam się panu, panie redaktorze, że polubiłem to. Wciągnąłem się w architekturę bardzo szybko, a ponieważ nie potrafię niczego robić połowicznie, po łebkach, wciągnąłem się do końca i naprawdę. Studia szły dobrze. W tym wieku człowiek pragnie rzucić sobie świat do stóp. Jest to naturalny objaw zdrowia i kondycji umysłowej i psychicznej.

Na czwartym roku zmontowaliśmy w kilku zespół i poszliśmy na konkursy zagraniczne. Były nagrody, wyróżnienia, wyjazdy do Francji, do Stanów, dobre układy, ktoś jakieś tam miał znajomości za granicą. Byliśmy przebojowi i wszystko wyglądało o'key. Dyplom poszedł gładko; więcej — bardzo wysoko został oceniony i dlatego zaproponowano mi asystenturę na wydziale. Ewentualności było w ogóle kilka. Mogłem wziąć tę asystenturę, mogłem pójść do jakiegoś biura projektów, były szanse na stypendium zagraniczne, nawet były możliwości pracy za granicą, gdzie siedziało już paru moich kumpli. Słowem, szło jak po maśle. Nie, niech pan sobie nie wyobraża, że byłem jakimś kujonem, co to z domu na wykłady, z wykładów do domu, trzy razy w tygodniu ćwiczenia fizyczne i koniec. Byłem normalnym facetem co lubił to wszystko, co lubią młodzi, normalni ludzie w tym wieku. Był sport, góry, ale było też wino patykiem pisane, dziewczyny, zarwane pracą lub pijaństwem noce, był podryw, obok tego góry Kaukazu, Tatry, narty, zawody sportowe, praca aż do ogłupienia... Było życie, które chciało się przeżyć naprawdę. Co wtedy znaczyło owo „naprawdę"? Chyba nie to co znaczy, w każdym razie dla mnie, dzisiaj. W pewnym momencie zdałem sobie sprawę, że w życiu człowieka przychodzi chwila, kiedy musi dokonać wyboru. Selekcji. Z jakiejś tam ilości wariantów wybrać jeden i przy nim pozostać. Nie byłem typem waganta, co raz może być górnikiem, raz sprzedawcą lodów, potem kelnerem, architektem, pomywaczem garnków w paryskiej restauracji, marynarzem itd. Ja musiałem stać na obu nogach, na twardej ziemi. Czuć, że stoję dobrze, pewnie i że ta ziemia pod nogami to nie są lotne piaski. Taka już moja konstrukcja psychiczna. Jeden rodzi się rudym, a drugi brunetem. I tak to zaczęło się rozwiązywanie łamigłówki: gdzie moje miejsce?

V.

Opis przyrody (czyli innymi słowy scenerii, w której odbywa się dialog dziennikarza z bohaterem) oraz fragmenty owego dialogu:

Las. Stary las. Jezioro. Do jeziora wpływa niewielka rzeczka. Woda czysta, bo nikt jej tu nie zatruwa. Chata z bierwion na wysokiej podmurówce z kamienia. Prosta, ale dziwnie szlachetna w proporcjach. Weranda — taras schodzący pomostem w jezioro. Od jeziora teren łagodnie podchodzi pod las. Chata zbudowana na stoku w dwóch poziomach — można wejść do niej od strony jeziora i od strony lasu od razu na strych.

Zgoła Kanada pachnąca żywicą.

— Ryby są?

— A jakże.

— A zwierzaki jakieś?

— Są.

— Aha. Pan pewnie poluje?

— Poluję.

— A ryby łowi?

— Łowi.

— Aha! Ptactwo wodne zapewne też się znajdzie?

— Kaczuszki? — Są.

Tu w lesie jeszcze pieśni głuszca pan posłucha.

— No tak. To właściwie wiem wszystko. A ta chałupa to tu skąd?

— Sam zbudowałem pięć lat temu.

— A tam na jeziorku żaglóweczka bardzo zgrabna...

— Zbudowałem. Okazało się, że mam duże uzdolnienia manualne, zresztą pewna wprawa była. Robiło się przecież na studiach makiety...

Dwieście metrów od chaty (pozostanę jednak przy tej nazwie) ogrodzony siatką drucianą plac z równo wystrzyżoną trawą, rzekłbym — z trawką przystrzyżoną w stylu angielskim, a na nim pomalowane na biało stoją... urządzenia meteorologiczne.

— A to co?

— Mój warsztat pracy. Jestem bowiem w służbie meteorologii...

VI

Bohater opowiadania (znów późny wieczór; doprawdy nie wiem dlaczego takie rozmowy dziennikarza z bohaterem odbywają się zwykle wieczorami, nad szklaneczką whiski. W tle muzyka stereo; teraz leci Bach):

Fot: Archiwum

— Cóż, zdałem sobie sprawę, że to co mogę robić to nie to i nie tak. Praca w biurze projektów? — godziny i nadgodziny, podpisywanie listy obecności; asystentura? — jaki ze mnie pedagog; gdzieś w świat wyjechać? — pięknie, ale ja mam swój własny kraj; groszoróbstwo jakoś mnie nie bawiło. Robienie kariery też nie. Chałtury nie ciągnęły nawet gdyby były w Paryżu. A przecież gdzieś jednak trzeba było coś robić. Z czegoś żyć. Gdzieś mieszkać. I tak to zostałem meteorologiem. Poszedłem do Instytutu Meteorologicznego. Szczęściem trafiłem na porządnego człowieka, co miał głowę na karku, a nie główkę kapusty, wyłuszczyłem co i jak, przeszedłem jakiś kurs, i akurat tu, w tej okolicy, mieli założyć nową stację. Trafiło mi się. I oto miałem pracę i płacę. Powiem panu w skrócie: najpierw mieszkałem tu w takim wozie-przyczepie, jak Cygan potem zbudowałem dom, molo, łódź. Zawsze było mi dobrze na tak zwanym łonie natury. Zresztą mówiłem już panu — były kiedyś góry, teraz jest las, jezioro. I wie pan, nawet się nie spostrzegłem jak w domu znalazła się deska kreślarska. Zostając meteorologiem nie przestałem być architektem. A układ jest bardzo prosty: pozostały dawne kontakty z tzw. życia cywilizowanego, mam zamówienia z zagranicy na wille, domki, campingi i inne takie. Ale projektując je tutaj, pracuję i dla zleceniodawcy i dla siebie. Facet nie chce się zgodzić na moją propozycję — cześć, do widzenia, nie ma rozmowy. Czuję się twórcą nie skrępowanym normami, żadnymi przepisami, ograniczeniami materiałowymi, nieudolnością wykonawców. Tworzę. Rozumie pan, tworzę. Niech pan mnie dobrze zrozumie: żyję pośród lasu, u samych źródeł, dotykam gołą stopą ziemi, tworzę coś własnego, coś co wynika ze mnie samego. Staram się tworzyć formy piękne i funkcjonalne. Niech pan popatrzy na bibliotekę fachową — niewielu ma coś takiego u siebie w domu. Czytam po angielsku, francusku, niemiecku. Pan zaraz zapyta ile biorę za taki projekt. Dużo. W porównaniu z tym moja pensja meteorologa to grosze. Ale ja tego nie robię na tony — to raz. A po drugie niech pan popatrzy — książki fachowe, nowoczesne urządzenia do odtwarzania muzyki, płyty, no i jeszcze jedno — fotografia kolorowa. Chyba dosyć? Powie pan, że mógłbym sobie pracować w ten sposób w Warszawie czy w Zakopanem, kupić tam za te pieniądze co zarobię dom i projektować; zostawić obsługę termometrów, wiatromierzy, deszczomierzy i tych innych urządzeń. Otóż nie. Tam bym chałturzył, a tu pracuję. Tu z jednej strony zobligowany jestem obowiązkami mojego etatu, a z drugiej mam wolność wyboru na płaszczyźnie mojego zawodu architekta. Proszę pana, co kilka godzin regularnie, jak rok długi, muszę przekazywać wskazania urządzeń meteorologicznych. To jest właśnie dyscyplina. Może nieco sztucznie narzucona, ale żadem człowiek nie jest świętym. A poza tym, mam tu tyle czasu, że mogę pracować do woli. I pracuję dużo. Bardzo dużo. I powiem panu, że pracuję z radością. Bo robię to, co rocić powinienem i w miejscu, które jest moim miejscem na ziemi. Ten las jest moją siłą. Świat kusi. Może tam, w Warszawie czy w Krakowie nie zauważyłbym nawet jak życie swoje rozmieniłem na drobne, na bilon. Tu jestem scalony, nie popękany. Konsekwentnie realizuję swoje przemyślenia. Mam czas na myślenie i eksperyment. Mam czas na studia. Po prostu nie chciałem iść na łatwe, tanie rozwiązanie. Na kompromisy. Tworząc, trzeba mieć swoje źródła. Każdy ma inne. Ja mam akurat takie. Mój las nie jest ucieczką. Jest wyborem. Siedzę tu osiem lat prawie. Do najbliższej wsi — 12 kilometrów. Do osady drwali — 5 kilometrów. Do strażnicy WOP — 4 kilometry. Głusz, a jednak czuję się tu obywatelem świata. I powiem panu, że jestem tu bardziej „na bieżąco" niż wielu tam, w Warszawie.

VII

Inny wieczór. Ta sama whisky. Z płyty Armstrong z Earl Hinesem (Nowy Orlean, mój BOŻE JAKI TO JEDNAK BYŁ JAZZ!) Pytam:

— A jak znosi pan samotność?

Bohater opowiadania (uśmiecha się lekko, łyk, z grubej kryształowej szklanki):

— Dobrze. Ja to lubię. A poza tym czuję się samotny. Miałem narzeczoną, po studiach mieliśmy się pobrać, ale ona „z dzikim z lasu" nie chciała się wiązać. Przeminęło. Potem była inna miłość. Nawet ślub i pół roku dezercji. Zamieszkaliśmy w Poznaniu. Jak pan widzi, wróciłem. Wróciłem jak do Cannosy, skruszony, do swego lasu. Samotność jest pojęciem względnym. Jeżeli człowiek uczestniczy w życiu innych ludzi, a ja uważam, że uczestniczę bardzo aktywnie, poprzez swoją twórczość architekta i fotografa i przez pracę meteorologa — o samotności nie ma mowy. A poza tym ja bardzo lubię ludzi. Znam tu wszystkich w okolicy. We wsi wszystkie nowe domy to z moich projektów, albo z mojej porady. Za to pieniędzy nie biorę. To włączone jest w rewiry mojego miejsca na ziemi. Ja pomagam im, oni mnie. Czasem przychodzą do mnie młodzi ludzie słuchać muzyki. Zachodzą patrole wopistów wypić szklankę kwasu chlebowego. Czasem przyjdą drwale pogadać, wypić po jednej, drugiej szklance bimbru (śmiech głośny, szczery). Ja panie redaktorze, nie jestem odszczepieniec ani dziwak. Lubię dobrą ferajnę, lubię zjeść i wypić. No i kocham las. I kocham życie twórcze, prawdziwe.

VIII.

W drodze powrotnej przez las, do przystanku PKS dziennikarz myśli sobie:

— Powiedzieć głośno: kocham życie twórcze i prawdziwe i udowodnić to faktami to jednak wielka wygrana. To właściwie wygrana stawka. Ilu z nas te słowa powiedzieć może głośno, z czystym sumieniem, bez żenady? Będę dyskretny. Nie będę liczyć.

ANDRZEJ GRUN

KAZIMIERZ PASZKOWSKI

SPOTKANIA Z REYMONTEM I BARTKIEWICZEM

Kiedy w pierwszej połowie stycznia 1919 roku objąłem posadę w dziale zagranicznym filii księgarni Gebethnera i Wolffa w Warszawie, przy Krakowskim Przedmieściu 15, w pałacu Potockich (w tym lewym skrzydle, gdzie dziś mieści się Ministerstwo Kultury i Sztuki), ruch w tym dziale panował ogromny. Codziennie pocztą lotniczą nadchodziły z Paryża oplombowane worki z dziennikami i tygodnikami angielskimi i francuskimi, które rozchwytywali wykształceni mieszkańcy stolicy oraz obcokrajowcy różnych narodowości. Hotele: Bristol, Europejski, Saski i inne zapełnione były bowiem misjami wojskowymi zwycięskiej koalicji, przedstawicielami świata politycznego oraz dziennikarzami zagranicznych agencji prasowych.

W dziale zagranicznym pracował m. in. Zygmunt Bartkiewicz, znany literat, rodem z Pabianic. Z nieodłączną fajką w ustach, urzędował dosłownie pod schodami. Schody były szerokie, dębowe, wygodne jak w hrabiowskim pałacu i wiodły z pokoju księgowości na pierwsze piętro do składu nut. Bartkiewicz miał tam mały, kwadratowy stolik, krzesło i szafkę z kilkoma półkami, z której wydawał czasopisma. Był to mężczyzna starszy już wiekiem, średniego wzrostu, o bladej, pomarszczonej twarzy, bujnej siwiutkiej czuprynie, ubrany po szlachecku w czarną czamarę. Wydał mi się bardzo sympatyczny na pierwszy rzut oka; on również, patrząc na mnie jak rozpocząłem pracę w wojskowym mundurze, zaczął darzyć mnie pewną sympatią.

Fot. Archiwum

Miałem tam wówczas sposobność poznać wielu ciekawych ludzi. Codziennie przychodził monsignore Achilles Ratti, by odbierać prenumerowany dziennik „Obsservatore Romano". Mieszkał wtedy w pałacu biskupim przy ulicy Książęcej i nie przeczuwał zapewne, że za kilka lat wybrany zostanie papieżem. Wielokrotnie rozmawiałem z majorem Atlee, szefem wojskowej misji angielskiej, który po kilku latach został premierem Anglii, ze Stephanem Lausanne, redaktorem naczelnym dziennika „Le petit Parisien", z majorem Robertem Boucardem, szefem francuskiej „Informaci prasowej", którego głośną książkę „Tajemnice szpiegostwa angielskiego" wydałem w kilka lat później w języku polskim, własnym nakładem, opatrzywszy dzieło przedmową. Co w tym najdziwniejsze, że prawa autorskie na polskie wydanie wspomnianego dzieła nabyłem nie od autora, ale od wydawcy angielskiego, bo dzieło to, przedstawiające kilkusetletnią działalność „Secret Service" — było w Anglii zabronione.

Oprócz licznych przedstawicieli narodów zwycięskiej koalicji, poznałem w tym czasie również Władysława Reymonta. Reymont mieszkał w domu firmy Gebethnera i Wolffa, przy ulicy Zgoda 12, na pierwszym piętrze. Zaczęło się to poznanie od niewinnej kontrowersji autora „Ziemi obiecanej" z panną Ireną, sprzedawczynią pism i tygodników zagranicznych.

Pewnego styczniowego ranka Reymont zjawił się w dziale zagranicznym i przejrzawszy kilka pism, rzekł do panny Ireny: „Pożyczam te pisma do jutra". W tym czasie ani panna Irena, ani ja nie znaliśmy jeszcze Reymonta. „Ależ proszę pana" — zaoponowała sprzedawczyni — „te pisma są przeznaczone dla stałych abonentów. Nie mogę ich wypożyczać". „Daję pani słowo, że zwrócę jutro rano". „Ależ ja pana nie znam!" „No, to chodźmy do dyrektora". Poszła panna Irena z Reymontem do dyrektora Nowickiego, który siedział w swoim zakątku w „sortymencie polskim". Sprawa się wyjaśniła, Reymont pisma otrzymał, a skonfudowana sprzedawczyni przepraszała pisarza za ten incydent, tłumacząc się tym, że Reymont przecież się jej nie przedstawił.

Po chwili dyrektor przedstawił Reymontowi moją skromną osobę i poprosił go, by we wszystkich sprawach, jakie go zainteresują, zwracał się odtąd tylko do mnie, a mnie — po wyjściu Reymonta — wydał odpowiednie instrukcje. Dopiero po wielu latach dowiedziałem się, że Reymont, sam nie władając dobrze żadnym obcym językiem, zabierał pisma dla swej żony, kobiety bardzo wykształconej i znającej kilka języków.

Reymont ubierał się na czarno. Był mniej niż średniego wzrostu, miał krótki, perkaty nos, na nim osadzone binokle, które dość często przecierał irchową skórką. Na czoło spadały mu ciągle pukle ciemnych włosów z bujnej czupryny, które często zagarniał palcami do góry. Nie bardzo zgrabny z figury, o krótkiej szyi, przypominał z aparycji Stefana Jaracza. Wywierał silny wpływ na rozmówcę, którego bacznie obserwował. Mówił głosem płytko osadzonym, barytonem o lirycznym brzmieniu. Warunków na aktora jednak nie posiadał i jak wiadomo, kariera jego w tym fachu trwała krótko, zakończona rolą suflera.

Z początku Reymont przychodził do nas o południowej porze, a że nie podobał mu się ogromny ruch w tym czasie, zmienił godziny odwiedzin na popołudniowe, między czwartą a piątą, kiedy ruch był mały i mógł sobie spokojnie przeglądać najnowsze pisma ilustrowane. Zaczynał od tygodnika francuskiego „L'Illustration", potem przeszedł na tygodniki humorystyczne, jak „La vie parisienne", „Le Rire", „Le Sourire", „Le Canard enchaine" i inne. Na koniec pytał o książki ilustrowane, przedstawiające bitwy pierwszej wojny światowej.

Pewnego dnia odbierałem z worków kilkanaście egzemplarzy dwutomowego francuskiego dzieła albumowego pt. „Album de la guerre". Ukazało się ono nakładem L'Illustration, było pięknie oprawione i przedstawiało całą wojnę w kolorowych i czarno-białych ilustracjach. Schowałem kilka egzemplarzy pod kontuar, a resztę przeznaczyłem do sprzedaży, która długo nie trwała, bo zainteresowanie tego typu wydawnictwami było ogromne.

Gdy po kilku dniach zjawił się Reymont, pokazałem mu ten album. Otarł binokle swą irchową skórką i jął przeglądać książkę kartka za kartką. Usiadłem przy moim pulpicie, by kontynuować swoją pracę, gdy w pewnej chwili Reymont zatrzymał się nad jakąś całostronicową ilustracją i poprosił mnie do siebie. „Patrz pan na ten obraz. Coś tak wspaniałego, tak symbolicznego mógł narysować tylko Francuz, albo nasz Grottger". Rysunek przedstawiał wielki cmentarz poległych żołnierzy francuskich, pełen równo uszeregowanych krzyży. Wysoka, piękna dama w żałobnej sukni, z czarnym kapeluszem na głowie i welonem, zakrywającym jej twarz, pochylona, całuje na środku cmentarza nagrobny, żołnierski krzyż. A pod obrazem napis, zawierający tylko jedno słowo: „Merci!" Gdy oznajmiłem Reymontowi, że otrzymaliśmy tylko kilkanaście egzemplarzy tego albumu, ale jeden zarezerwowałem specjalnie dla niego, bardzo się ucieszył, kilkakrotnie mi dziękował, a że dzieło było ciężkie, poprosił o dostarczenie do domu. Warto dodać, że Anglicy wydawali również tygodniowy periodyk, drukowany na kredowym papierze, a obrazujący bitwy pierwszej wojny światowej fotografiami z frontów, ale zeszyty te, sprzedawane pojedynczymi numerami, nie cieszyły się powodzeniem.

Reymont był bardzo skromny i przystępny. Interesował się wszystkim: także moją służbą w wojsku, moimi dowódcami, udziałem w bitwach. Pannie Irenie, z którą w osobliwych okolicznościach zawarł znajomość, nieraz powiedział parę miłych i dowcipnych słówek.

Poznawszy znakomitego pisarza, było mi wstyd, że nie przeczytałem dotychczas żadnej jego książki, bo prawdę mówiąc, w wojsku nie było na to czasu. Zacząłem więc odrabiać zaległości, zainteresowałem się również twórczością Zygmunta Bartkiewicza. Kiedy Reymont po raz drugi odwiedził nasz dział, zauważył siedzącego pod schodami Bartkiewicza i wali wprost do niego: „panie Zygmuncie, to nasza firma nie mogła już pana ulokować w lepszym miejscu?" A Bartkiewicz na to: „widzi pan, jaka tam ciżba przy tych pismach? Wolę ten cichutki zakątek." Autor „Złego miasta" nie długo zagrzał miejsce w dziale zagranicznym Gebethnera i Wolffa. Pewnego dnia zwolnił się bez wypowiedzenia posady i na pamiątkę pozostawił po sobie wiersz pożegnalny, napisany na kartonie, przytwierdzonym pineskami do stolika. Wiersz był dość długi; pamiętam już dziś tylko jego zakończenie:

„Nie chcę być tu księgarzem
I nie chcę być gońcem,
Żegnaj kochana Firmo,
Ja śpieszę za słońcem".

I pośpieszył za tym „słońcem", które później zawiodło go na stanowisko prezesa Związku Wydawców. Pozostawił najmilsze wrażenia, do mnie odnosił się z prawdziwą sympatią. Pamiętam, że kiedyś po pracy zaprosił mnie na flaki po warszawsku i zawiódł gdzieś na ulicę Wałową, do jakiejś obskurnej knajpy, w której pierwszy pokój zajęty był przez liczną „sałatę", czyli warszawskich dorożkarzy. Do Związku Zawodowego Literatów Polskich, którego członkiem zostałem w roku 1922, Bartkiewicz nigdy nie należał, bo nie chciał. Był pierwszym mężem wielkiej aktorki Mieczysławy Ćwiklińskiej.

A Reymont? Mniej więcej po upływie kwartału, gdy już Warszawa była nasycona obcą prasą z Zachodu i zastąpiła ją prasa i agencje krajowe, autor „Chłopów" przestał odwiedzać nasz dział zgraniczny i od tego czasu nie widziałem Reymonta aż do roku 1923, a może 1924.

Spójrzmy jednak wstecz, na rok 1896. Reymont przybywa wówczas do Łodzi z konkretnym planem napisania powieści o tym wielkim mieście przemysłu, nędzy i wyzysku. Przybywa jako młody jeszcze, bo 28-letni pisarz, który ma w swym literackim dorobku zaledwie kilka nowelek i powieść „Komediantka".

Znajduje się w bardzo trudnych warunkach materialnych, gdyż utrzymuje się tylko z niestałych honorariów za drukowane w „Tygodniku Ilustrowanym" i innych periodykach warszawskich nowelki i opowiadania. Okres pobytu Reymonta w Łodzi nie znany jest bliżej ani komentatorom jego dzieł, ani jego przyjaciołom i nie był dotychczas nigdy szczegółowo opisany. Pragnę więc podać tu kilka informacji, zaczerpniętych od lokatora, u którego Reymont mieszkał bezpłatnie przez okres prawie siedmiomiesięczny.

Fot. Archiwum

W domu przy ulicy Wschodniej 50, gdzie dziś znajduje się tablica pamiątkowa, utrwalająca krótki pobyt Reymonta w naszym mieście, mieszkał na pierwszym piętrze, w lewej oficynie, 24-letni wówczas księgarz — Juliusz Goźliński (1870—1962), który w roku 1894 objął stanowisko kierownika łódzkiego oddziału księgarni Gebethnera i Wolffa.

Pewnego dnia — jak opowiadał mi Goźliński — przybył doń do księgarni Reymont z listem polecającym od Artura Gliszczyńskiego, poety i dziennikarza. Gliszczyński gorąco polecał Goźlińskiemu Reymonta, podkreślając, że młody pisarz nie ma po prostu gdzie przenocować. Goźliński nie znał jeszcze wtedy Reymonta osobiście, ale jako księgarz wiedział, że firma, w której pracował, wydała już dwie książki przybyłego doń petenta. Przyjął więc Reymonta bardzo chętnie i ofiarował mu bezpłatnie oddzielny pokój na cały okres pobytu w Łodzi. Reymont, jak każdy początkujący w owych czasach pisarz, był wtedy w opłakanych warunkach.

Goźliński opowiadał mi, że Reymont odznaczał się wprost „babską" ciekawością wszystkiego, co się w Łodzi działo. Rozmawiał chętnie z dozorcą domu, praczką, robotnikami łódzkimi, słowem — chwytał dni miasta na gorąco, w rozmaitych przejawach, by potem późną nocą utrwalać swe wrażenia na papierze. Prowadził bardzo nieregularny tryb życia; sypiał do południa, po czym wychodził na miasto, gdzie jadał obiady i kolacje, i zwykle wracał po północy. Wtedy siadał do swej nocnej pracy, popijając czarną kawę i paląc papierosy jednego po drugim. Taki artystyczno-cygański styl bycia nie mógł oczywiście wyjść na zdrowie początkującemu pisarzowi, a gdy Goźliński zapytał kiedyś Reymonta, czy nie lepiej byłoby dla jego zdrowia, żeby w nocy spał, a w dzień pracował, Reymont mu odpowiedział: „Nie, panie, mnie tylko w nocy nawiedza natchnienie do pisania, w dzień wolę się wałęsać po mieście". Przesiadywał w różnych kawiarniach i restauracjach, a najczęściej w lokalu hotelu „Victoria", gdzie dziś mieści się kino „Polonia". Tam przebywał w gronie aktorów, literatów i innych znajomych, jak np. Nullus, Fromm, Jan Garlikowski, Grodek.

Dość często odczuwał brak gotówki, zwracał się więc do Goźlińskiego o drobne pożyczki do czasu otrzymania z centrali firmy Gebethnera i Wolffa honorarium za nowele lub zaliczki. Pożyczki zawsze zwracał, choć nie zawsze w terminie. Goźliński doradził Reymontowi, by napisał pismo do centrali firmy, aby ta wypłacała mu należne honoraria przez filię w Łodzi, co umożliwi szybsze otrzymywanie należnych kwot. Rada była zbawienna i od tej pory Goźliński wypłacał Reymontowi pieniądze. Były to sumy drobne, mniej więcej około 50 rubli miesięcznie, z których człowiek samotny, jakim był podówczas Reymont, mógł wyżyć, ale cały jego zarobek pochłaniały kawiarnie i restauracje. Goźliński jako kierownik księgarni pobierał wówczas 150 rubli miesięcznie. Wyczuwał łatwo, kiedy Reymont nie miał kopiejki w kieszeni. W tych chudych dniach jego lokator kupował jaja, chleb i masło, robił sobie na obiad jajecznicę lub jaja gotowane na twardo okraszał musztardą. Był z natury bardzo czysty i pedantyczny. Po takich skromnych obiadach natychmiast sprzątał po sobie: skorupki od jajek, niedopałki z papierosów zbierał skrzętnie do gazety i taką zawiniętą kulę wynosił natychmiast na podwórze do skrzyni ze śmieciami.

Goźliński widywał Reymonta tylko w niedziele i święta w domu lub w te dni powszednie, w których pisarz odwiedzał swego gospodarza w księgarni, bo gdy nasz księgarz zamykał budę i wracał do domu, nigdy prawie Reymonta nie zastawał, a gdy rankiem spieszył do pracy, Reymont spał w najlepsze. Tak oto zobrazował autora „Ziemi obiecanej" stary księgarz, którego poznałem w Łodzi na kilka lat przed jego śmiercią i rozmowy te skrzętnie zanotowałem.

Ostatni raz widziałem Reymonta z końcem roku 1923 lub z początkiem roku 1924. Spotkałem go przypadkowo w bramie domu przy ulicy Zgoda 12, gdzie mieściła się firma Gebethnera i Wolffa w Warszawie. Mając fenomenalną pamięć wzrokową poznał mnie i serdecznie się ze mną przywitał. Zauważył, że nie widzieliśmy się pięć lat, pytał, czy pracuję jeszcze w dziale zagranicznym i jak urządziłem sobie życie. Rozmawiał tak ze mną z 15 minut, w ciągu których opowiedziałem mu o zmianach, jakie zaszły w moim życiu. Prowadziłem w tym czasie firmę wydawniczą z Witoldem Hulewiczem (rozstrzelanym w 1941 r. w Palmirach) w Warszawie, przy ulicy Kruczej 42. Reymont wyglądał bardzo źle. Skarżył się na zadyszkę, mówił, że bardzo ciężko znosi zimy i mrozy. Lekarz radził mu wyjazd do kraju o cieplejszym klimacie dla poratowania zdrowia. Pożegnał mnie, jak zawsze, bardzo serdecznie, życzył mi powodzenia i wyszedł do miasta, ja zaś pośpieszyłem do dra Stanisława Lama, z którym byłem umówiony. Lam pracował wówczas u Gebethnera i Wolffa jako redaktor periodyku „Naokoło Świata", był przy tym również luźnie związanym redaktorem Biblioteki Dzieł Wyborowych i Bibioteki Laureatów Nobla. Gdy powiedziałem Lamowi, że spotkałem w bramie Reymonta, który ze mną rozmawiał, Lam zauważył, że Reymont jest poważnym kandydatem do literackiej nagrody Nobla i że Żeromski, który w tym samym czasie kandydował, ma znacznie mniejsze szanse. I Lam miał rację. Żeromski przepadł przy pomocy arcybiskupa Sztokholmu, który był w składzie jury, a Reymont otrzymał w roku 1924 literacką nagrodę Nobla.

Fot. Archiwum

ŚWIAT • POLITYKA • WYDARZENIA • KOMENTARZE

30 LAT SOCJALISTYCZNEJ RUMUNII

W ubiegłym tygodniu Socjalistyczna Republika Rumunii obchodziła swoje trzydziestolecie. Rocznicę tę wyznacza dzień 23 sierpnia 1944 r., data wybuchu narodowego powstania przeciw rodzimej dyktaturze faszystowsko-wojskowej. W dwa dni później Rumunia wypowiedziała wojnę Niemcom hitlerowskim. Na czele ruchu oporu stanęła Komunistyczna Partia Rumunii która porwała naród do walki zbrojnej. Powstanie zbiegło się w czasie ze zbliżającą się ofensywą wojsk Armii Radzieckiej. W tydzień po rozpoczęciu powstania stolica Rumunii została wyzwolona. Od tego momentu zapoczątkowany został czas głębokich przeobrażeń społeczno-gospodarczych, przemian, które w kilka lat po zakończeniu wojny i po proklamowaniu republiki (1947r.) w miejsce monarchii, nabrały wyraźnie socjalistycznego charakteru. Rumunia dołączyła do państw demokracji ludowych.

Podstawę gospodarki tego kraju stanowiło przed wojną rolnictwo, zatrudniające ponad 75 procent ludności czynnej zawodowo. Przemysł reprezentowany głównie przez górnictwo naftowe i obróbkę drewna wytwarzał zaledwie 30 proc. dochodu narodowego. Opanowany był w większości przez obcy kapitał, który prowadził niemal kolonialną politykę eksploatacyjną. Nie potrzeba dodawać, w jaki sposób odbijało się to na poziomie życia narodu rumuńskiego.

Dzisiejsza Rumunia to kraj, który uległ zasadniczy... przeobrażeniom ekonomiczno-społecznym. Przede wszystkim zmienił się jego profil gospodarczy. Z kraju zacofanego rolnictwa **Rumunia stała się krajem przemysłowo-rolniczym, budującym nowoczesną gospodarkę.** Produkcja przemysłowa wzrosła prawie trzydziestokrotnie. Ilustracją osiągnięć gospodarczych Rumunii jest fakt, iż cała produkcja z roku 1938 wytwarzana jest obecnie w ciągu 13 dni. Dynamika rozwoju przemysłu w tym kraju jest niezmiennie bardzo wysoka. W okresie 1950—1973 średnioroczne tempo wzrostu produkcji wynosiło 13 proc. a i w chwili obecnej jest jeszcze najwyższe w krajach RWPG — 11,3 proc.

W roku bieżącym Rumunia wyprodukuje 8,6 mln ton stali wobec 281 tys. ton w roku 1938. Produkcja energii elektrycznej wyniesie 51,5 mld kWh — w 1938 roku produkowano jej zaledwie 1 mld kWh. **Przemysł maszynowy i chemiczny, gałęzie o podstawowym znaczeniu we współczesnej wysokoefektywnej gospodarce, zwiększył swój udział w całości produkcji przemysłowej z 13 do 42 procent.** Szczególnie dynamicznie rozwijają się takie branże jak elektrotechnika, mechanika precyzyjna i optyka. Odzwierciedleniem postępu gospodarki rumuńskiej jest szybki wzrost szeregów klasy robotniczej w stosunku do pozostałych zatrudnionych. W 1950 roku robotnicy stanowili 57,6 proc. ogółu zatrudnionych, natomiast w 1971 udział ich zwiększył się do 76 proc. Większość klasy robotniczej związana jest z nowoczesnym przemysłem. Obecnie pracuje w nim ponad 2 miliony robotników, a 30 procent z nich legitymuje się wykształceniem średnim.

Zmiana i modernizacja struktury gospodarczej doprowadziła do wzrostu udziału Rumunii w międzynarodowym podziale pracy. Zasadniczym zmianom uległ charakter obrotów towarowych z zagranicą. Udział maszyn i urządzeń, produktów chemicznych i innych towarów przemysłowych w całości eksportu wynosi obecnie około 58 proc., wobec 7,2 w 1950 roku. Natomiast udział paliw oraz surowców mineralnych i metali stanowiących kiedyś podstawę eksportu spadł w stosunku do początku lat sześćdziesiątych prawie o połowę.

Rumunia nie zamierza zwolnić kroku w najbliższej przyszłości. Opublikowany na początku sierpnia br. projekt dyrektyw na XI Zjazd Rumuńskiej Partii Komunistycznej w sprawie planu pięcioletniego na lata 1976—1990 i głównych wytycznych rozwoju społeczno-gospodarczego zakłada **średnioroczne tempo wzrostu dochodu narodowego o 10 proc., produkcji przemysłowej ponad 10 proc., zaś produkcji rolnej — 6 procent. Oznacza to, że realne dochody na głowę ludności rosnąć będą w tempie 5,4 proc. rocznie, a średnia płaca nominalna — w tempie 5,2 proc. Wzrost dochodów chłopów będzie się wahał w granicach 3,7 — 4,6 procent rocznie.**

Wśród zmian, jakie zaszły w życiu klasy robotniczej Rumunii, na szczególną uwagę zasługuje radykalna poprawa warunków pracy i warunków socjalno-bytowych. Ogromne znaczenie dla całego społeczeństwa ma zbudowanie ponad miliona nowych mieszkań i szeroko zakrojony program działalności społeczno-kulturalnej.

Socjalistyczna Republika Rumunii szybko, konsekwentnie i z pełnym powodzeniem nadrabia ogromny dystans, który jeszcze niedawno dzielił ją od przodujących krajów.

J. J.

KULISY USTĄPIENIA JUNTY

We wtorek, 23 czerwca około godziny 18 w paryskiej rezydencji b. premiera Grecji Konstantinosa Karamanlisa, który od 1967 roku przebywał na emigracji, odezwał się telefon.

— Hallo — usłyszała sekretarka bardzo daleki głos — mówi prezydent Grecji Fedon Gizikis. — Proszę poprosić pana Karamanlisa.

— Z początku pomyślałam, że to jakiś głupi kawał — opowiadała sekretarka korespondentowi zachodnioniemieckiej gazety „Welt" — ale widząc twarz mego chlebodawcy zrozumiałam, że sprawa jest poważna.

Rozmowa trwała około trzech kwadransów. Potem Konstantinos Karamanlis zaczął się zbierać do podróży do Aten.

Tegoż dnia w stolicy Grecji wydarzenia rozwijały się bardzo szybko. O godzinie 19.15 według czasu miejscowego radio ateńskie poinformowało, że junta wojskowa zrzeka się swoich pełnomocnictw. Pułkownicy, generałowie i oprawcy, którzy w ciągu siedmiu i pół lat trzymali kraj w kleszczach dyktatury oznajmili, że schodzą ze sceny politycznej: „Wskutek nadzwyczajnych trudności w jakich znalazł się kraj — informowano w krótkim komunikacie — greckie siły zbrojne postanowiły przekazać władzę rządowi cywilnemu..."

Dosłownie w przeciągu kilku minut w stolicy zawrzało. Zaczęły wyć tysiące klaksonów, dając sygnał do wybuchu ogólnej niepohamowanej radości. W chwilę później we wszystkich kościołach uderzono w dzwony. W oknach domów pojawiły się niezliczone flagi narodowe. Na ulice miasta wyległy tysięczne tłumy ateńczyków. Śmiali się, ściskali sobie ręce, obejmowali się i całowali. Wielu ludzi miało łzy w oczach.

Nad Atenami zapadła już noc, ale pogłos radości tłumów nie ucichł. Policjanci mundurowi i w cywilu, z przyklejonym uśmiechem na nieruchomych twarzach, starali się nie zwracać uwagi na rzucane pod adresem pogróżki i obelgi, prosili młodzież o opuszczenie placu przed parlamentem, do którego lada chwila miał przyjechać z lotniska Karamanlis.

Wydarzenia w Grecji wprawiły w zdumienie nawet najbardziej doświadczonych i najbardziej wytrawnych obserwatorów politycznych. Nieoczekiwany „nawrót generałów do demokracji" nastąpił tak nieoczekiwanie, że wielu ludziom mimo woli wydał się podejrzany. Jeszcze 10 lipca, występując na konferencji prasowej w Paryżu, Karamanlis mówił, że sceptycznie ocenia możliwość radykalnych zmian w Grecji. Reżim generałów — powiedział wtedy — opiera się na trzech mocnych filarach: na „niewidzialnym rządzie" (tj. juncie), siłach zbrojnych i Amerykanach. Chodziły słuchy, że Karamanlis już wtedy otrzymywał propozycje powrotu do Grecji od pewnej wysoko postawionej osobistości w armii greckiej, ale odmówił żeby nie stać się marionetką w rękach pułkowników. Czy wynika z tego, że teraz nowy szef rządu greckiego otrzymał niezbędne gwarancje?

Jak już wiadomo, członkowie junty wojskowej, którzy we wtorek 23 lipca przyjęli grupę cywilnych działaczy politycznych nie stawiali żadnych warunków swojej „kapitulacji".

— „Panowie — powiedział do nich z miejsca generał Gizikos — jesteśmy do waszych usług. Możecie nas z powrotem wysłać do koszar, albo zostawić przy sobie tych, których zechcecie".

Co się stało, że dosłownie wszyscy dowódcy armii greckiej postanowili dobrowolnie oddać się w ręce władzy cywilnej? Dotąd nikt dokładnie nie zna podłoża tego kroku ani nie wie o czym mówiono podczas gorący debat rozgorzałych w „kuluarach władzy" na trzy dni przed zmianą rządu. Najbardziej prawdopodobnego wyjaśnienia tego faktu należy chyba szukać w tym, że „trzy filary dyktatury", o których mówił Karamanlis nie wytrzymały „cypryjskiego trzęsienia ziemi".

„Niewidzialny rząd" generała Gizikisa został tak dalece sparaliżowany wewnętrznymi sprzecznościami, że pierwsze lepsze zaostrzenie kryzysu mogło doprowadzić do katastrofy. Pucz przeciwko prezydentowi Makariosowi, inspirowany przez grecką soldateskę, skazał reżim ateński na międzynarodową izolację jeszcze przedtem, nim „czarni pułkownicy" dokonali próby ustanowienia własnych porządków w Nikozji.

Krach cypryjskiej awantury poruszył armię. Sądząc z nie potwierdzonych jeszcze informacji, dowództwo 3 korpusu armii, rozlokowanego na północy kraju zażądało w poniedziałek 22 lipca ustąpienia junty. W warunkach, kiedy większa część wojska zdolna do niezwłocznych działań bojowych została przesunięta na granicę z Turcją, garnizon ateński, znacznie osłabiony, nie mógł chyba stawić czoła zbuntowanym pułkom maszerującym z Salonik.

W obawie, że wszystko to doprowadzi do anarchii, Stany Zjednoczone postanowiły prawdopodobnie „zwolnić" swoich protegowanych i zmusić ich do przekazania władzy rządowi cywilnemu, składającemu się z działaczy politycznych konserwatywnej orientacji. Jednocześnie Waszyngton odczuwał nacisk ze strony władz tureckich, które żądały, żeby w rozmowach genewskich w sprawie uregulowania problemu cypryjskiego brał udział taki rząd grecki, który by się cieszył poparciem narodu i byłby gotów przestrzegać warunków porozumienia.

Tak czy inaczej, ale leciutki wiaterek wolności powiał nad Helladą. W piątek 26 lipca zamknięto obóz koncentracyjny na wyspie Yura. Nazajutrz setki jego więźniów wraz z więźniami dziesiątków innych obozów koncentracyjnych mogły wreszcie powrócić do domów. Amnestionowano nie tylko ludzi prześladowanych za czasów „czarnych pułkowników" ale także sądzonych „za politykę" w tzw. okresie demokratycznym, tj. do przewrotu 21 kwietnia 1967 roku. Żywszym tętnem zabiło życie polityczne kraju. Korzystając z odzyskanej wolności przywódcy lewicy zaktywizowali swoją działalność, rozpowszechniając ulotki, biorąc udział we wszystkich demonstracjach, wysuwając swoje hasła polityczne.

Oczywiście, wiele zależy od tego, jak szybko zostanie rozwiązany problem cypryjski. Do czasu aż nad wschodnią częścią Morza Śródziemnego wisi groźba wojny, Karamanlis nie będzie mógł wydźwignąć Grecji z kryzysu ekonomicznego, nie będzie mógł skoncentrować się nad rozwiązaniem problemów socjalnych, zwrócić większej uwagi na zagadnienia konstytucyjne i polityczne. Powrót arcybiskupa Makariosa do Nikozji jest nieodzownym warunkiem normalizacji.

Jednocześnie nie można odkładać ani na chwilę rozwiązania problemów ekonomicznych. Galopująca inflacja, gigantyczny deficyt bilansu handlowego, ogromne zadłużenie w handlu zagranicznym — oto dziedzictwo pozostawione przez reżim „czarnych pułkowników". Według zgodnych opinii ekspertów kraj znajduje się w przededniu ekonomicznego bankructwa. Kryzys cypryjski i brak stabilizacji w Grecji pozbawiły ją jednego z najważniejszych źródeł dochodu — turystyki. Zmniejszenie wpływów walutowych nastąpiło w momencie, kiedy kraj najbardziej potrzebował środków na pokrycie importu nafty. Obliczono, iż w 1974 roku trzeba będzie wydatkować na zakup nafty 400—500 milionów dolarów. Nieustannie rośnie deficyt bilansu handlowego: z 640 milionów dolarów w 1968 roku do 1.340 milionów w 1972 roku i 2.400 milionów w 1973 roku. W bieżącym roku deficyt ten będzie oczywiście jeszcze większy. Żeby jakoś wyjść z tej sytuacji junta ratowała się kredytem zagranicznym. Oficjalne rezerwy Banku Narodowego zmniejszyły się w kwietniu 1974 roku do 920 milionów dolarów, podczas gdy suma kredytów udzielonych na opłaty importowe wynosiła 990 milionów dolarów. Tylko z tytułu samych procentów junta wojskowa musiała płacić wierzycielom kilkaset milionów dolarów rocznie...

Tempo inflacji osiągnęło 32 proc. w ciągu roku. Próby pułkowników „uzdrowienia sytuacji ekonomicznej kraju" zakończyły się kompletnym krachem. Fiaskiem zakończyła się także regulacja cen wskutek potęgi mechanizmów czarnorynkowych. Zamiast szeroko rozreklamowanego zwiększenia spożycia — nastąpiło jego gwałtowne zmniejszenie, co z kolei doprowadziło do likwidacji produkcji przemysłowej i wzrostu cen.

Brak jakiejkolwiek koncepcji polityki ekonomicznej spowodował ciężkie następstwa. Junta stymulowała rozwój tylko niektórych gałęzi gospodarki: handlu nieruchomościami, w którym spekulacja osiągnęła niewiarygodną skalę, turystyki i częściowo przemysłu stoczniowego. Niskie tempo produkcji przemysłowej, ostry deficyt siły roboczej, rozdęte do nieprawdopodobnych rozmiarów nieproduktywne gałęzie przemysłu, swobodna penetracja obcych monopoli, przede wszystkim amerykańskich — wszystko to przekształciło Grecję w jeden z najbardziej zacofanych krajów zachodniej Europy.

Na razie Konstantinos Karamanlis stara się nie iść zbyt daleko ani w oczyszczaniu aparatu państwowego ze starej kadry faszystowskiej, ani w reorganizacji tej zastygłej w bezwładzie struktury socjalno-ekonomicznej, którą otrzymał w spadku po swoich poprzednikach. Zaraz w czasie pierwszego spotkania Karamanlisa z gen. Gizikisem, w nocy z 23 na 24 lipca, generał, który „oddał się do dyspozycji rządu cywilnego", przedłożył Karamanlisowi dwie „prośby": kierownictwo ministerstwami — bezpieczeństwa publicznego i porządku, spraw wewnętrznych i obrony — powinno pozostać w rękach wojskowych oraz — nowy reżim nie powinien powołać do armii oficerów usuniętych swego czasu wskutek opozycji wobec „czarnych pułkowników..."

Karamanlis zdecydowanie odrzucił pierwszą „prośbę", ale nie wypowiedział się wyraźnie co do drugiej. W każdym razie, oficerowie „starego reżimu" pozostają nadal na swoich stanowiskach i nie mówi się na razie o przesunięciu ich na drugoplanowe funkcje. Co więcej, jak podaje „Le Monde", wbrew informacjom niejasnowej prasy, generał Joannidis, nazywany głównym oprawcą narodu greckiego, wciąż jeszcze kieruje policją wojskową (ESA) i nadal pozostaje „silnym człowiekiem" w greckiej armii.

Z pierwszego orędzia Karamanlisa do narodu, ujętego w dość mglistej formie, wynika, iż nowy rząd ma nader ograniczoną swobodę manewru i unika zadrażnień z armią. Wszystko wskazuje na to, że nie nadszedł jeszcze czas próby sił. Najbardziej rozpowszechnionym hasłem dnia w Atenach jest „ostrożność i jeszcze raz ostrożność". Greckie partie lewicowe i inne organizacje ruchu oporu nie ukrywają swego niepokoju. Nie chcą narażać na niebezpieczeństwo rządu Karamanlisa, pokładając w nim wielkie nadzieje w obecnych warunkach i licząc na to, iż najlepszym sposobem neutralizacji junty będzie sformowanie takiego rządu jedności narodowej, w którym znajdą się przedstawiciele wszystkich partii oraz jak najszybsze restytuowanie parlamentu, który określi strukturę republiki greckiej.

JERZY CZECH

x RADZIECKA INICJATYWA W SPRAWIE CYPRU

x FORD – ROCKEFELLER – czy TANDEM TAKŻE W PRZYSZŁOŚCI

Mimo dużego wysiłku, jaki Rada Bezpieczeństwa włożyła w przywrócenie konstytucyjnego porządku na Cyprze, **sytuacja wyspy jest nadal niepokojąca.** Postanowienia Rady o niezwłocznym przerwaniu interwencji oraz wycofaniu obcych wojsk nie są realizowane. Raz po raz dochodzi do rozlewu krwi. Tysiące Cypryjczyków opuściło swe domostwa, co jeszcze bardziej dezorganizuje życie kraju. Tymczasem niektóre zabiegi wokół Cypru wcale nie zmierzają do zapewnienia jego niezawisłości i integralności. Militarystyczne koła NATO wciąż podejmują próby przekształcenia wyspy w swą bazę. Z tego głównie powodu fiaskiem zakończyły się trójstronne rokowania. Zamiast pozostawić Cypryjczykom możliwość samodzielnego rozwiązania problemów swojego państwa — sięga się po metody dyktatu politycznego. W tej sytuacji **Związek Radziecki,** który konsekwentnie opowiada się za suwerennością i niepodzielnością Republiki, **wystąpił z inicjatywą zwołania pod patronatem ONZ międzynarodowej konferencji z udziałem Cypru, Grecji i Turcji oraz wszystkich państw— członków Rady Bezpieczeństwa.** Propozycja nie wyklucza udziału w takiej konferencji także innych państw, zwłaszcza niezaangażowanych.

Oświadczenie rządu ZSRR, które przyniosło tę propozycję sugeruje jednocześnie, **aby państwa — stali członkowie Rady Bezpieczeństwa,** na których spoczywa szczególna odpowiedzialność za utrzymanie pokoju i bezpieczeństwa, **złożyły wspólnie lub równolegle gwarancje niepodległości, suwerenności i integralności Cypru.** „Trzeba — głosi oświadczenie — zlikwidować ognisko napięcia wojennego we wschodnim rejonie Morza Śródziemnego. Związek Radziecki będzie ze swej strony nadal aktywnie działać w tym kierunku".

Z Aten napłynęły wiadomości, że jeśli problem cypryjski nie zostanie rozwiązany do połowy września, rząd grecki może wnieść sprawę na forum Zgromadzenia Ogólnego. Oczekuje on, że ponad 70 krajów, które opowiadają się za niezależnością wyspy, wesprze Ateny.

W chwili, kiedy piszemy te słowa, sekretarz generalny ONZ — Kurt Waldheim przybył do Nikozji. Jego rozmowy oczekiwane są z dużym zainteresowaniem.

Prócz Cypru pod lupą obserwatorów wydarzeń międzynarodowych znajdują się **pierwsze dni prezydentury G. Forda.** Wiele komentarzy poświęcono powołaniu na wiceprezydenta — N. Rockefellera — 66-letniego republikanina, człowieka niesłychanie zamożnego, którego majątek szacuje się na blisko miliard dolarów. Zdaniem wielu publicystów, Rockefeller reprezentuje umiarkowane skrzydło partii, a fakt, że Ford wskazał na niego, dokonując wyboru z dziesiątków kandydatów, świadczyć będzie o wzrastającej randze wiceprezydenta.

Nominacja Rockefellera niemal zbiegła się z oficjalnym zakomunikowaniem, że **Ford zamierza kandydować na prezydenta w najbliższych wyborach — w 1976 roku.** Wiadomość ta stała się sensacją za oceanem, ponieważ dotychczas stanowczo się on odżegnywał od takiej ewentualności. — Widocznie pierwsze dni rządów — piszą dzienniki — przyniosły zadowalające wyniki i zachęciły prezydenta z nominacji do podjęcia tej decyzji. Przypuszcza się, że za dwa lata jako kandydat na wiceprezydenta wystąpi Rockefeller.

W prasie amerykańskiej można przeczytać, że Ford i Rockefeller znakomicie się uzupełniają. Pierwszy jest przedstawicielem Środkowego Zachodu, drugi Wschodu, pierwszy ma duże doświadczenie działalności w Kongresie, drugi zna się dobrze na sprawach międzynarodowych... Partii demokratycznej trudno będzie przeciwstawić temu tandemowi swoich kandydatów. Obecnie ok. 60% demokratów uważa, że w przyszłych wyborach o prezydenturę z ramienia tej partii ubiegać się będzie Kennedy.

Dajmy jednak spokój tym rozważaniom i powróćmy do dnia dzisiejszego. Niestety — znów do trudnego tematu.

Otóż od pewnego czasu **w Izraelu stwarza się psychozę wojenną.** Dokonuje się tego m. in. przez ogłoszenie próbnej mobilizacji rezerw, koncentrację wojsk, nowe prowokacje zbrojne... Jednocześnie premier izraelskiego rządu — I. Rabin nawołuje ludność do gotowości wojskowej i odrzuca możliwości pokojowego porozumienia się z państwami arabskimi.

Jaki jest cel tego działania?

Stworzyć wrażenie, że państwa arabskie przygotowują się do nowych działań wojennych i — jak pisze „L'Aurore" — „usprawiedliwić w ten sposób nową agresję pod płaszczykiem wojny prewencyjnej". Jak widać — Izrael nie zrezygnował z prób rozstrzygnięcia bliskowschodniego konfliktu z pozycji siły. We wzroście napięcia we wschodniej części Morza Śródziemnego, co spowodowane zostało wydarzeniami na Cyprze i wokół Cypru, upatruje on szansę dla siebie. Niebezpieczna to stawka, która nie może przynieść wygranej. Jak wielokrotnie już pisaliśmy, **rozwiązanie konfliktu może nastąpić tylko na drodze pokojowej,** którą wskazały rezolucje Rady Bezpieczeństwa.

W. SŁAWSKI

ZDARZENIA ZWIERZENIA?!

ALFABET ROZRYWKI

Dawno już stwierdzono, że ogromną popularnością cieszą się wśród czytelników wszelkiego rodzaju encyklopedie, leksykony i słowniki. Kolejne wydania polskich encyklopedii znikają spod lady. „Słownik wyrazów obcych" jest na rynku księgarskim „białym krukiem"... i tak dalej i tak dalej.

Na zachodzie powstają coraz to nowe encyklopedie — ostatnio w Getyndze opracowano encyklopedię bajek, która zawiera informacje o bajkach od starożytnego Egiptu po współczesność. Wydarzeniem roku na światowym rynku wydawniczym uznano nową edycję słynnej „Encyclopaedia Britannica". Komplet zawiera 43 miliony słów i składa się z 30 tomów. Przygotowanie nowego wydania zajęło 15 lat i pochłonęło 14 milionów funtów szterlingów, nie licząc kosztów druku...

Nic więc dziwnego, że i w Polsce mamy coraz to nową okazję zoczyć w księgarni jakiś oryginalny leksykon czy słownik. Ostatnio wielce mnie ubawił **„Alfabet polskiej rozrywki"** ułożony przez **Witolda Fillera, Ryszarda Marka Grońskiego i Jerzego Wittlina.**

Jest ta książeczka sumą informacji o polskiej rozrywce — i to jej walor poznawczy. Ale jest ta książeczka również swego rodzaju pastiszem popularnych leksykonów — i to jest jej walor satyryczno-rozrywkowy. Na przykład pod hasłem „Kunicka Halina" czytamy „patrz Lucjan Kydryński". Albo po hasłem „Strip-tease" czytamy: **„Do lokali nie podpierających swego budżetu strip-teasem przykładowo należą w Warszawie: Bar mleczny, jadłodajnia jarska „Salus" przy Marszałkowskiej i restauracja „Wars" na Dworcu Wschodnim".** Pod hasłem „Schody" czytamy: **„W rewii, kiedy się pojawią na scenie schody oznacza to, że należy natychmiast zacząć szukać w torebce albo w kieszeni numerka do szatni, ponieważ maksimum za pięć minut program się kończy."**

Już ta maleńka — zaprezentowana tu — próbka świadczy, że książka Fillera, Grońskiego i Wittlina jest po prostu świetną, dowcipną lekturą. Autorzy potraktowali konwencję leksykonu z przymrużeniem oka — i bardzo dobrze, bowiem temat nie zniósłby innego tonu jak lekki i żartobliwy. Co oczywiście nie znaczy, że „Alfabet" nie przynosi sporej porcji informacji o polskiej rozrywce. Przynosi — a jakże, tyle, że w sposób również... rozrywkowy. Gdybym był krytykiem to bym pewno napisał o przystawalności ludycznej formy do analogicznej treści.

Już sam wstęp nazwany przez autorów „Wyjaśnieniem" głosi, że autorzy nie chcą czemukolwiek sprostać, że wszystkie oceny są jednostronne, stronnicze, pozbawione obiektywizmu, że autorzy nie czerpali z żadnych źródeł, że słownik nie wypełnia żadnej dotkliwej luki i nie ujmuje całościowo żadnego zagadnienia... Przypomina to ów stereotypowy zwrot używany przez autorów powieści z kluczem: „wszystkie postacie i sytuacje są wytworem fantazji i nie mają odpowiednika w rzeczywistości..."

W rzeczywistości bowiem „Alfabet" posiada walory informacyjne i jest obiektywny na tyle na ile w ogóle podobna publikacja może być obiektywna. Napisanie takiej książki (nawet na trójkę) nie jest rzeczą łatwą — a opublikowanie jej trochę ryzykowne. Stąd więc — jak sądzę — owa tarcza żartu i kpiny.

Nieważne zresztą motywy. Ważne, że książka o rozrywce napisana została tak jak o rozrywce pisać się powinno — a więc lekko, zajmująco i dowcipnie. Nie jest to na szczęście praca doktorska, w której autorzy deliberują nad tym w jakiej mierze charakterystyka elementów strukturalnych dowcipu wiązać się będzie z analizą przebiegu jego percepcji.

„Alfabet rozrywki" jest adresowany do wszystkich, których interesuje rozrywka. Ale — na Boga! — kogóż w tym kraju rozrywka n i e interesuje? Dlatego więc książeczka Fillera. Grońskiego i Wittlina jest już — jak mówią księgarze — „wyczerpana w hurcie", co znaczy, że w magazynach jej nie ma, ale jeszcze może się gdzieś trafić na prowincji. Ostatnio widziałem jeden egzemplarz w Stargardzie Szczecińskim. Pociąg pospieszny przez Ostrów Wielkopolski, Poznań, Krzyż odchodzi z Łodzi Kaliskiej o godzinie 5.50.

WIDOK

ANDRZEJ GRUN — FRYZURY

LEWYM OKIEM

Siedzimy w „rogu poczekalni, dwa rupiecie, stary i trochę mniej stary. Pada. Chłodno. Taka plucha w lecie, to jak dziesięć pluch w pluszczystą jesień. Rozłazi się człowiek w szwach, przemięka, przepuszcza, wilgotnieje od środka, sam nie wie czego chce. Mój przygodny towarzysz gdzieś z Zielonogórskiego czy Wrocławskiego coś mamrocze, coś gada ni to do siebie, ni to do mnie, pociąga od czasu do czasu sporawe łyki z butelki po cytrovicie, mnie podsuwa.

— Grypa pana chyci, a bimberek dobry, mocny, zięciowej roboty. Pilnowany.

Wymawiałem się. Nie lubię bimbru. Nie lubię deszczu w czerwcu, w lipcu, w sierpniu. Nie lubię gorącego ołowiu wlewanego mi za kołnierz. Nie lubię szpilek pod paznokciami. Nie lubię zadry w dupie. Nie lubię dorszy po grecku a' la polish gastronomia. Nie lubię... gniazdowej architektury w stylu Rybkowskiego. Nie lubię... Ot! mizantrop ze mnie! Zrzędza. Może lubiłbym w tej chwili trzymać nogi w kominku, popijać smirnófkę albo Brandy albo może bombę zimnego Prinz Bräu, z pianką, z tak zwanym fartuszkiem, albo mógłby już być coctail na zielonym vermucie, ale taki dobry, z wszystkimi dodatkami, zimny, grzechoczący kostkami lodu, jako rozzłoszczony grzechotnik, który szykuje się do ataku. — Ech, daj pan pociągnąć tego samogonu.

To co wolałbym, a to co mogę mieć w tej chwili to sprawy tak różne jak noc i dzień, jak słońce i księżyc, jak wół i kareta, jak pięść i nos, jak garbaty i ściana, jak piersi tej smarkuli Mariolki co mieszka tu niedaleko dworca, a piersi takiej jednej małej co je czasami oglądałem przez całą rozległą, ogromną szerokość rue de Vallgirard (choć jest to waska uliczka) kiedy wypadło mi spędzić kilka nocy w Paryżu (wie bestia o tym, że ją podglądam i specjalnie wyczynia przed oknem nie zasłoniętym różne dziwne rzeczy ze swoim ciałem, i wie też zapewne, że podgląda ją pół ulicy, oczywiście te męskie pół ulicy, ale nic sobie z tego nie robi, bestia ruda i ręczę że jest na pewno z tego bardzo kontenta, takie już one są).

Łyknąłem samogonku raz, drugi. Rzeczywiście dobry. Doprawiony miodkiem w sam raz. Ani fuzelku, ani smrodu drożdży.

— Smakuje, co? Jak dla mamy — zagadał przygodny towarzysz.

— Powiem panu, że i zdrowszy i tańszy. Oj, jakie to taniutkie. A nalewki jakie z tego wychodzą, to szkoda gadać. Zagryź pan kiełbaską jeszcze. Też domowej roboty. Tzw. bezwodna, dietetyczna, czyli że samo zdrowe ścierwo własnej produkcji, bez odpadków.

Kiełbasa również była przednia. Kminkiem pachniała. Czosnkiem.

— Trochę podwędzona?

— Trochę.

I tak mizantrop przemienił się w kącie koluszkowskiej poczekalni dworcowej w epikurejczyka, sabarytę, hedonistę i Bóg wie w co jeszcze. Chwała ci, Bachusie.

Przez perony, noc, chlupę przelatują pociągi.

— Powiem panu, że ja to jadę do siostry — odezwał się jegomość, który na początku był starszym rupieciem a teraz już współtowarzyszem biesiadki, pogwarki — do siostry jadę, bo u siostrzyczki straszy. Napisała mi w liście, że u niej, biedulki samotnej, siwiutkiej straszy cięgiem i żebym zaraz przyjechał. I jadę.

— Ee, powiadasz pan.

— Powiadam, że straszy, zatem straszy. Trzepieczyński nie kłamie. Paix aux chaumiéres Guerre aux châteaux! — zawołał. — Negocjacje jadę czynić. Moja zacna siostrunia jest jak nave senza nocchiero in gran tempesta! Ja będę sternikiem! I sędzią! I katem! Ja temu duchowi pokażę. Trzepieczyński sum!

Uścisnęliśmy sobie prawice.

— Siostra moja, starowina, bo najpierwsza z nas wszystkich ten padół łez ujrzała, mieszka w domu co do POM należy. Sama jest, stara, w jednym pokoju mieszka i w małej kuchence. Za sanacji to tam były czworaki czy oficyny dla służby, ale teraz remonty zrobili i są to mieszkania pracownicze. A siostra, długoletnia pracownica w tym POM do dzisiaj tam na posługi chodzi. Ale widzisz pan, jej pokój sąsiaduje z mieszkaniem kierownika POM, a kierownik POM chce tam kogoś wsadzić, w to mieszkanie znaczy się i siostrę moją usilnie chce przesiedlić do lokalu zastępczego czyli do jakiejś rudery. Starowina nie chce się zgodzić bo tu ma jako tako, a tam będzie miała byle jak, brudno i chłodno. No to ją kierownik straszy. Najpierw ją straszył, że ją wyrzuci z pracy i z POM. Ale ona solidna i zasłużona, więc nie mógł. To teraz duchy na nią nasyła. Kisi mory jakieś. Wiuny. Żluki. W chorobę siostrę wpędził. Nerwowości dostała. Własnej kozy się boi. Więc ja tam jadę, aby vitam impendere vero; jakem Trzepieczyński jest — i tu Trzepieczyński spory łyk zięciówki-samorodki z butelki łyknął i wzrokiem potoczył po zegarze dworcowym, wrzasnął, że czas na niego i pognał na peron, w deszcz, w noc. Pognał dzielny, stary rupieć z duchami walkę toczyć. A wracaj mi na tarczy przez Koluszki, towarzyszu.

Co zaś się tyczy duchów, to przyznać muszę, że temat jest ryzykowany, nie wyczerpany, drażliwy i w ogóle.

Sam miałem kiedyś prywatnego ducha, co mi żarł tudzież napitki z lodówki wynosił. Ze stołu nie ruszył, z garnka nie wyjadł, a dobierał się tylko do tego co było w lodówce. Zastawiałem na drania pułapki na myszy — bez skutku. Północny duch. Duch, — Eskimos. Aż raz nażarł się bestia zupy bosmańskiej zagęszczonej marki PPDiUR „Odra" (prosto z puszki) i... wyniósł się. Albo zdechł.

A z drugiej strony szkoda, bo raźniej jest z kims niż bez nikogo. Dotąd wiedziałem, że jak wrócę do domu, to zastanę lodówkę pustą i to mnie cieszyło tak, jak innych cieszy lodówka pełna.

Chlupot deszczu jesiennego w środku lata działa nostalgicznie; z zakamarków pamięci wywleka wspomnienia. I mnie przypomniał się taki jeden „przy adek z duchem". Dawno to było. Miałem przyjaciela, miłośnika nalewek przednich, pieśni i polowań; wschodów słońca, porannych mgieł i cietrzewich karesów. Zaprosił mnie on był kiedyś do siebie na polowanie. Zima była jak kobieta — piękna! Z małej stacyjki ciuchciowej saniami dojechaliśmy lasem do jego domostwa zaszytego pośród starodrzewia odrealnionego śniegową opończą. Ciekawy to był dom. Wielki. Drewniany. Na kamiennej podmurówce. Pokryty spadzistym dachem gontowym, teraz, w zimie, spiętrzonym jeszcze czapą śniegu, która zacierała kontury, zaokrąglała wszelkie kanty, mansardy, kominy. W domu tym, gdzie niejedno pokolenie myśliwych hojnie a radośnie czciło swe łowieckie sukcesy pośród licznych trofeów i broni różnej, wszystko z drewna, kamienia, skóry i rogu wykonane było. Dom-dworek z innej zgoła epoki skryty w lasach ostał się apetytom wiecznie głodnej historii.

Tamżeśmy to właśnie zajechali, goszczeni jak to jeno u nas, w domach zasiedziałych od pradziada być goszczonym można (ileż to takich domów jeszcze na ziemi naszej się ostało?)

Pokój dostałem na samej górze, na mansardzie, strop belkowany mając jedynie nad głową, a ponad stropem ośnieżone wierzchołki sosen i niebo wycekinione gwiazdami.

Pierwsza i druga noc minęły spokojnie. Drewniany dom trzeszczał, stękał, pojękiwał, skrzypiał, gadał i mruczał, opowiadał coś, gędźbę jakąś snuł swoją. Wyrozumieć się w tym mógł jeno ktoś, kto długo tu przemieszkiwał. Spałem jednak dobrze, zmęczony uganianiem się po lesie za dzikami i zającami. Atoli trzeciej nocy zaczęło się.

Z początku szmery jakieś obce, miękkie rozlegać się poczęły, potem mebel jakiś przewrócony rabanu narobił, potem coś zleciało po schodach i wlazło znowu na górne piętro hałaśliwie i bezczelnie. Nie były to zwykłe, conocne głosy starego domu. Obudziłem się. Pobudzili się inni. Błysnęły jedna po drugiej żółte światełka lamp naftowych i, jakby nie na miejscu tu, światła latarek elektrycznych. Wtedy jednakoż ucichło wszystko. Ale ledwo znaleźliśmy się w ciepłych łóżkach — rumory i hałasy przebrzydłe zaczęły się od nowa. Ki diabeł?

Wyłaziliśmy tak z łóżek kilkanaście razy. Penetrowaliśmy cały dom, każdy kąt aż do świtu. Ze świtaniem rumory ucichły jakby to dziwaczne pieruństwo poszło sobie.

Akurat — poszło sobie! Następnej nocy dało nam to coś taki koncert, żeśmy oka nie zmrużyli. Nie pomogło szczucie psami, ani nawet stara Józefowa — kucharka.

— Pewnikiem kusy albo kikimora, albo duch nadleśniczanki — gderała stara.

Afera wyjaśniła się po pięciu nocach. Dom stary miał cały system kredensów, antresol, spiżarni, lamusów, piwnic i strychów. I do tego to labiryntu dostał się zając. Szarak lekko postrzelony za martwego uznany został i w sieni, na kamiennej podłodze gdzie było najchłodniej złożony pospołu z innymi. Nocą ożył, otrząsnął się z szoku i dawajże salwować się ucieczką. Aliści — dokąd? Ganiał po domostwie, wpadł gdzieś jakoś w ów labirynt, gdzie deski były już mocno nadpróchniałe i oszalały zupełnie po kredensach, pawlaczach, spiżarniach raidy straceńcze urządzał wyłamując sobie różne przejścia i przesmyki. Znaleźliśmy go wreszcie w starej szafie jak w kącie ledwie ze strachu dyszał. Ten mój „duch z puszczy" miał długie słuchy, był szary, a na końcu ogona miał białą śmieszną, puszystą kitkę. Za znakomite aktorstwo obdarzony został wolnością. Ale zapewne nabawił się stressów.

Z duchami nigdy nie wie się, czy dobrze z nimi jest czy jest z nimi źle... Jak zresztą z dziewczynami...

* * *

Miałem też inne spotkania z duchami. Tamte były innej już zgoła natury. Wspomnienie niektórych z nich dziś jeszcze jeży mi włos na głowie. Bo duchy dzielą się z grubsza na te które SĄ i na te które są w starym kredensie lub w starej szafie. Przyznam się Wam, że ja osobiście najbardziej lubię ten trzeci rodzaj duchów, a mianowicie duchy przyodziane w stylowe i gustowne kostiumy flaszek.

Wynika oczywiście z tego, że jestem idealistą wierzącym, iż to duch właśnie jest źródłem i osnową bytu wszelkiego, a materia jest jeno świadectwem jego aktywności. Złośliwi (oczywiście ewangeliści!) wymyślili powiedzonko, że spiritus quidem promptus est, caro autem infirma; duch — ci wprawdzie jest ochotny, ale ciało mdłe. Lecz na to rzec im można (ich językiem własnym zresztą): spiritus flat ubi vull — co się łatwo da przełożyć, że duch, kiedy chce, tchnie — z czego wynika że jeśli duch rzeczywiście ochotny to i z ciałem sobie poradzi. Morał więc byłby taki: bądź z duchem za pan brat, a dęby rwać będziesz. Ducha, niezależnie w jakim on opakowaniu, lekceważyć nie należy. Niestety, świat współczesny o pozory, czyli o materię dba bardziej niż o duchy. Dlatego też taki on jałowy, ten świat. Jak kasza bez omasty.

GLOBTROTTER

O DWÓCH OBRAZACH czyli SKANDAL W MALARSTWIE

Było tak i chyba będzie zawsze, że artyści malarze, którzy w swoich dziełach wyrażali nowy sposób przeżywania sztuki, natrafiali często na sprzeciw, a nawet na zaciekły bojkot ze strony ludzi im współczesnych.

Liczne są przykłady potępienia przez ogół wybitnych dzieł, które później, po wielu latach, zyskiwały powszechne uznanie i poklaski interesujących się sztuką.

Warto odgrzebać z popiołów niepamięci choćby „wielki skandal" jaki wywołał znany obraz Rembrandta pt. „Straż nocna", przedstawiający szesnastu strzelców, którzy zapłacili, każdy po 100 guldenów, żeby przy pompy pędzla artysty przejść do wieczności. Dzielni wojacy postawili żądanie: podobizna każdego z nich miała figurować na płótnie w całej krasie i okazałości.

Pozowali Rembrandtowi, ale wielki artysta porwany własną wizją tworzył inaczej niż oni to sobie wymarzyli. Na obrazie wszyscy są bezładnie przemieszani, realia zastąpiono wizją Rembrandta. Porucznik opasany jest białą szarfą, chociaż każdy rekrut w tych czasach wiedział, iż porucznicy holenderscy nosili niebieskie szarfy. Takich niezgodności z rzeczywistością można znaleźć więcej. Pół Amsterdamu zbiegło się pod obrazem. Ludzie dziwili się i drwili, a nawet znawcy zasugerowani opinią tłumu, nie dostrzegli walorów artystycznych obrazu. Mieszczanie uważali, że Rembrandt zakpił z nich, wyprowadził w pole, że zlekceważył sobie ogólnie przyjęte kryteria artystyczne i zwyczajowe.

Dziś obraz ten nie budzi u nikogo zastrzeżeń, podziwiany jest przez wielotysięczne tłumy, zwiedzające Muzeum Królewskie w Amsterdamie.

Drugi „skandal" dotyczy obrazu Maneta pt. „Śniadanie na trawie". Obraz ten przedstawia na pierwszym planie trzyosobową grupę: nagą kobietę i dwóch ubranych mężczyzn, siedzących na trawie. Wywołał on w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia burzę protestów.

Dzieło Maneta powszechnie uznano za profanację mieszczańskiego ideału przyzwoitości i dobrego tonu. Cesarz francuski Napoleon III zwiedzając wystawę wyraził swoją dezaprobatę dla „Śniadania na trawie", piętnując je jako obrazę moralności, a jego małżonka przechodząc na wystawie obok obrazu Maneta odwróciła wstydliwie głowę.

Warto zdać sobie z tego sprawę, że w okresie, kiedy tworzył Manet, malarstwem zaczęły interesować się szersze rzesze mieszczańskiej publiczności, która do sztuki odnosiła się dotychczas nieufnie i zwracała szczególną uwagę na elementy godzące w ogólnie przyjęte normy moralne i estetyczne.

Nagie kobiety były „dopuszczalne" w malarstwie często jako postacie mitologiczne, później jako akty kobiece. Jednakże „zwyczajna" naga kobieta w towarzystwie dwóch ubranych mężczyzn była wyzwaniem rzuconym publiczności paryskiej.

Nie pomogły tłumaczenia, że artysta przez kontrast z dwoma ubranymi mężczyznami pragnął oddać możliwie najbardziej sugestywnie barwę kobiecego ciała. W Paryżu wrzało, a liczni stróże moralności grozili zniszczeniem wspaniałego dzieła. Również inni malarze nie pozostawali w tyle. Szczególnie tzw. „Akademicy" prowadzili kampanię, mającą na celu zdyskredytowanie obrazu pod względem artystycznym. Przede wszystkim zarzucali dziełu Maneta zbyt gwałtowne przechodzenie tonów jasnych w ciemne, bez uwzględnienia stopniowej ich zmiany, która według zdania „Akademików" połączyłaby poszczególne fragmenty obrazu w jedną całość. Według opinii znanego ówczesnego krytyka Jacquesa Blanche, który oglądał „Śniadanie na trawie" jeszcze na początku lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia, obraz wywierał ogromne wrażenie gamą żywych kolorów, nie spotykaną u innych malarzy.

Później kiedy publiczność zetknęła się z obrazami innych mistrzów jak Renoire'a, Sisley'a, Seurata, Cezanne'a czy też van Gogha lub Gaugina, to co było kiedyś rażące i „nie do przyjęcia", zdobyło sobie uznanie.

Dziś, spór o wartość dzieł Rembrandta czy też Maneta wydaje się śmieszny, ale w okresie w którym żyli i tworzyli było inaczej.

Nie wiem czy powyżej przedstawione fakty nakłonią do zastanowienia się tych wszystkich, którzy potępiają współczesne malarstwo. Dzisiaj — kiedy ludzie dyskutują na temat perypetii dawnych mistrzów, zastrzegają się, że „to było przecież coś innego".

Cóż, trzeba tylko dodać, że tej samej formuły używali także i współcześni Manetowi, którym przypominano potępienie „Nocnej straży" Rembrandta przez ludność Amsterdamu.

JERZY MARENDZIAK

DYLIŻANS

„Dyliżans warszawski" napisała Maria Kuncewiczowa w roku 1935. A właściwie pisała tę książkę wcześniej, publikując w czasopismach owe felietony i reportaże — tylko „Dyliżans" w formie książki ukazał się w roku 1935. W każdym razie jest to obraz Warszawy notowany na gorąco przed prawie czterdziestu laty.

Jest więc ta „warszawska" książka zupełnie inna niż współczesne varsawiana, w których obraz Warszawy jest wspomnieniem, obrazem wyłowionym z dna pamięci. „Dyliżans warszawski" to — jak pisze Stefania Podkowska-Okołów — „kawał żywej Warszawy z przedwczoraj, bez sentymentu, bez łezki, za to z mocnym hamulcem uczuciowym".

Tej książce młodość zapewnia prawda zapisu, zwykła codzienna rzeczywistość przedwojennej Warszawy, tyle że podniesiona do potęgi, zmonumentalizowana, wyryta w płatach bruku, które cudem ocalały od bomb i przeżyły starte na proch gmachy i zagrzebanych pod ich gruzami ludzi. Sama Kuncewiczowa stwierdziła po latach, że w tej książce opisuje już tylko cmentarz. Ale nie tylko cmentarz miasta, lecz także cmentarz epoki bezpowrotnie minionej, umarłej.

„Dyliżans warszawski" ukazał się właśnie po raz czwarty. Świadczy to nie tylko o tym, że wybitna pisarka aprobuje swoją książkę sprzed czterdziestu lat. Świadczy to również, że tę książkę aprobują czytelnicy.

Maria Kuncewiczowa „Dyliżans warszawski" Wyd. PAX, cena 20 zł

GWARA WARSZAWSKA

Warszawa — jak wszystkie wielkie miasta europejskie — ma swoją odrębną charakterystyczną gwarę. Stosunek tej gwary do języka narodowego jest taki, jak każdego innego „argot" do języka ogólnego. Rożnice ujawniają się głównie w zakresie słownictwa.

Gwara stolicy spopularyzowana przez literackie stylizacje Wiecha doczekała się opracowania naukowego. Operując bogatym materiałem językowym prof. Bronisław Wieczorkiewicz przedstawił w swojej książce historię rozwoju gwary warszawskiej, jej zróżnicowanie terytorialne i środowiskowe. Gwara ulicy — gwara środowisk przestępczych, gwara drobnomieszczaństwa, proletariatu, różnych grup inteligencji — oto główne regiony jej rozwoju.

Ale książka Bronisława Wieczorkiewicza to nie tylko studium językoznawcze. To także książka o Warszawie i jej mieszkańcach, o humorze ulicy i folklorze przedmieść. Ponieważ gwara związana jest ściśle z mieszkańcami, a jej bogactwo i siła ekspresji zależy od ich charakteru, ruchliwości i temperamentu.

Bronisław Wieczorkiewicz „Gwara warszawska dawniej i dziś" PIW, cena 90 zł

S.O.S.

Pani Jadwiga Wojtyłło napisała „kryminał", który czyta się jednym tchem. I to właśnie powinno wystarczyć za wszelkie oceny, bowiem „kryminały" pisane są głównie po to aby je czytać jednym tchem. Tak więc „S. O. S." jest wymarzoną lekturą na lato.

Skoro jednak autorka umieściła akcję powieści w Polsce, skoro bohaterem jest reporter radiowy prowincjonalnej rozgłośni gdzieś na Wybrzeżu — wypada się także zapytać jak się mają powieściowe realia do rzeczywistości. Niestety — z tym jest gorzej. Te dziennikarskie magnetofony z mikrofonem w zegarku, ten prywaciarz-zboczeniec, ta całkowicie bzdurna afera z pornograficznymi zdjęciami... Autorka opowiada nam bajkę, której akcja dzieje się w zupełnie innym kraju i tylko przypadkowo bohaterowie noszą polskie nazwiska. Myślę zresztą, że takiego kraju w ogóle nie ma. Nagromadzono tu tak ogromną ilość nieprawdopodobnych zmyśleń i niedorzeczności, że powieść przypomina krymnalne fantazje Joanny Chmielewskiej. Tylko, że Chmielewska pisze swoje książki z humorem i absolutną świadomością wygłupu (np. bohaterka wydostaje się z lochów średniowiecznego zamku dłubiąc w murze dziurę.. szydełkiem do wełny). Chmielewska z fantazji, zmyśleń i piętrzenia nieprawdopodobieństw stworzyła styl. Chmielewska broni się humorem i przymrużeniem oka — Jadwiga Wojtyłło tworzy sytuacje nieprawdopodobne ze zbytnią powagą. Ale — jak się rzekło — książkę się czyta, lekko przeskakując wraz z autorką przez te wydumane sytuacje. „S. O. S." jest więc wczasową lekturą na jeden wieczór.

Jadwiga Wojtyłło „S. O. S." Wyd. Czytelnik, 1974

INTERPRETACJE

Od przeszło trzydziestu lat widać ciągły wzrost zainteresowania problematyką interpretacji utworu literackiego i dążność do jej unaukowienia. Z książek zajmujących się tym problemem można by już dziś stworzyć sporą bibliotekę.

Ostatnio nakładem PWN ukazała się praca zbiorowa „Interpretacje" pod redakcją Kazimierza Bartoszyńskiego, Marii Jasińskiej-Wojtkowskiej i Stefana Sawickiego. Tom zawiera interpretacje małych form narracyjnych — nowel, opowiadań i gawęd. Omówiono w nim ponad dwadzieścia utworów polskich pisarzy od Henryka Rzewuskiego i Cypriana Norwida poczynając — na Witoldzie Gombrowiczu i Mironie Białobrzeskim kończąc. Wśród autorów szkiców spotykamy natomiast takie nazwiska jak Henryk Markiewicz, Artur Hutnikiewicz, Teresa Cieślikowska, Edward Balcerzan czy Stanisław Barańczak.

Nie jest to lektura wakacyjna — zapewne. Ale właśnie teraz jest czas aby się w tę cenną pozycję zaopatrzyć. Będzie ona przydatna wszystkim, którzy literaturą zajmują się zawodowo — studentom, nauczycielom, pisarzom.

„Interpretacje" Praca zbiorowa. Wyd. PIW, cena 36 zł.

PISMA PEIPERA

Tadeusz Peiper stał się historią i legendą polskiej awangardy poetyckiej jeszcze za życia. Po wojnie bodaj nic nie opublikował i nie pozwalał publikować swoich prac z okresu dwudziestolecia. A przecież jego dorobek z tamtych lat jest niezwykle istotny. Dopiero śmierć pisarza przed paroma laty otworzyła przed wydawcami możliwość całościowego, krytycznego wydania spuścizny Tadeusza Peipera. Krakowskie Wydawnictwo Literackie podjęło ten trud i niedawno ukazał się drugi już tom „Pism". Ta blisko 700-stronicowa księga zatytułowana „O wszystkim i jeszcze o czymś" zawiera artykuły, eseje i wywiady z lat 1918—1939.

Razem z pierwszym tomem „Tędy i Nowe usta" stanowi ta publikacja zbiór wszystkich prac Peipera do roku 1939, prac o literaturze i sztuce, a także wszystkich tych, które z jego programem estetycznym mogły się łączyć.

Obie te książki zmieniają nasze wyobrażenia o Peiperze, któremu tak często zarzucano, że swą teorią i praktyką poetycką odwracał się od życia kraju i tradycji literackiej. A przecież tak nie było. Zebrane w drugim tomie publikacje Peipera, wyszperane z trudno dziś dostępnych czasopism i gazet świadczą, że działalność pisarza nie rozwijała się w pustce, ale wśród sporów i polemik, w samym centrum literackiego życia. Widać również z tego tomu z taką pieczołowitością opracowanego przez Stanisława Jaworskiego, Stefana Górę i Teresę Podoską —, że przywódca polskiej awangardy jakże mocno cenił tradycje polskiej literatury. Pisał wiele o Mickiewiczu i Słowackim, Wyspiańskim, Reymoncie, Sienkiewiczu... Słowacki był zresztą przedmiotem szczególnego kultu Tadeusza Peipera. „Nie ma przesady w stwierdzeniu — pisze we wstępie Stanisław Jaworski, że niewiele z tego co w dwudziestoleciu międzywojennym było ważne, nie znalazło swego odbicia w którymś z artykułów. Lektura tomu pozwala inaczej zobaczyć jego autora; ułożyć sobie bogatszy jego obraz. Ale zapewne także bogatszy obraz całego okresu".

J. W.

Tadeusz Peiper „O wszystkim i jeszcze o czymś", Wyd. Literackie, cena 90 zł.

FILM

PORWANIE

Treścią francuskiego filmu „PORWANIE" w reżyserii Ives Boisseta są zdarzenia autentyczne — dnia 29 października 1965 roku, w południe, na bulwarze Saint-Germain des Prés, w centrum Paryża, przez ludzi legitymujących się dowodami tożsamości oficerów policji porwany został Mehdi Ben Barka — przywódca Narodowego Związku Sił Ludowych Królestwa Maroka. Wkrótce po tym fakcie rozeszły się pogłoski o jego śmierci oraz o udziale w tej brudnej aferze i zbrodni, francuskiej policji i amerykańskiej CIA. Wybuchł skandal polityczny, lecz sprawę zatuszowano tak zręcznie, że jak dotąd, nie została ona wyjaśniona do końca, a okoliczności i daty śmierci Ben Barki nie ujawniono.

Zrealizowany w 1973 roku film „Porwanie" przypomniał opinii francuskiej i nie tylko jej zresztą, jedną z najbardziej kompromitujących dla Francji afer politycznych. Nietrudno się domyślić, że realizacja filmu napotykała na ogromne przeszkody zarówno ze strony policji francuskiej jak i władz administracyjnych. Choć formalnie w „Porwaniu" nie pada ani nazwisko Ben Barki, ani innych osób zamieszanych w aferę, a film zrealizowany został w konwencji sensacyjnego dramatu politycznego, wiadomo było, że scenarzysta Jorge Semprun i reżyser Ives Boisset sprawie tej film swój poświęcili. Po premierze filmu opinie były zgodne — dostępne dokumenty i enuncjacje pozwalają sądzić, iż wersja sprawy Ben Barki przedstawiona w „Porwaniu" przez Sempruna i Boisseta, jakkolwiek uproszczona, jest bardzo prawdopodobna.

Reżyser filmu wypowiadając się w sprawie sporu wokół relacji: rzeczywistość — fikcja, broniąc się przed zarzutami, że zrealizował film, kładąc akcent na jego sensacyjność i nie trzymając się ściśle przebiegu afery Ben Barki, przypomniał publicznie zasady francuskiego prawodawstwa. Nie pozwala ono zapożyczać nazwisk ani opisywać wydarzeń z życia ludzi bez ich zgody. Jasne zaś było, że ci, którzy byli zaplątani w tę aferę nigdy zgody tej nie wyrażą. Sensacyjny kamuflaż oraz fikcyjne postaci i ich nazwiska były środkiem umożliwiającym realizację porwania, a i tak po premierze filmu wytoczono Boissetowi 7 procesów o zniesławienie.

Przypomnienie tych okoliczności wydaje się konieczne, by przy całej zastosowanej w „Porwaniu" konwencji „thrillera" móc film ten widzieć nie tylko jako próbę rekonstrukcji jednej sprawy, lecz zgodnie z intencjami jego twórców, móc go potraktować jako rodzaj przypowieści o gwałcie jako środku działalności politycznej. Film „Porwanie" tak rozumiany zachowuje swą szlachetność nawet wówczas, gdy na przykład porównując go z włoską „Sprawą Mattei" Rosiego dostrzega się jego swoistą komercjalność wynikającą z przyjętej konwencji sensacyjnego dramatu.

Boisset, znany wcześniej we Francji z realizacji „czarnych kryminałów" hołduje amerykańskiemu stylowi reżyserii tego typu filmów. Rytm, nerwowość, sposób dozowania napięcia, tempo narastania zdarzeń znaczących w całej historii zbliża również „Porwanie" do tego stylu. Dodajmy, że wybór gwiazd — Jean Louis Trintignant, Michel Piccoli, Gian Maria Volonté, Philippe Noiret, Francois Périer i inni — jako obsady ról głównych i epizodycznych, oddanie muzyki w ręce jednego z najbardziej wziętych kompozytorów światowego kina Ennia Morricone było ze strony Boisseta posunięciem świadomym. Bez udziału gwiazd, film ten nie miałby tak szerokiej publicznej reperkusji, dzięki nim, dzięki formule kina sensacyjnego mógł być tak powszechnie oglądany.

„Porwanie" jest poza wszystkimi swymi sensami politycznymi klasycznym nieomal przykładem walki o publiczność, przykładem, w którym tym razem dobrze rozumiany komercjalizm oddano na usługi sprawie społecznego zaangażowania. Jego wyrazem mogą być słowa Ivesa Boisseta: „Afera Ben Barki zawsze mnie fascynowała, ponieważ jest ciągle żywa i obnaża to, co dzieje się od dłuższego czasu we Francji. Jeżeli nawet rząd francuski nie miał nic wspólnego z zabójstwem Ben Barki to moim zdaniem — zbrodnia jego polegała na zafałszowaniu prawdy, zatajeniu jej od momentu, gdy uzyskano dowód, że w wydarzeniach tych maczała palce francuska policja (z wywiadu dla „Unifrance"). Polityczny sens „Porwania" bierze w nim górę nad usługową wobec tematu sensacyjnością.

EWA NURCZYŃSKA

KSIĄŻKA

Zduńska Wola

W kwietniu 1974 roku ukazała się praca doc. dra hab. Józefa Śmiałowskiego pt. „Zduńska Wola. Monografia miasta do 1914 roku". Książka jest interesującym opisem dziejów tego miasta głównie od początków XVIII wieku ze szczególnym uwydatnieniem jego spraw gospodarczych i społecznych, który to aspekt, jak dotychczas, leży u podstaw zainteresowań autora w licznych jego opracowaniach. Tematykę samej Zduńskiej Woli poprzedziły trzy artykuły doc. Śmiałowskiego z lat 1958—1967 drukowane w czasopismach naukowych łódzkich. Autor jest właściwie pierwszym poważnym biografem tego miasta, opublikowana bowiem w 1925 r. książka pt. „Stulecie miasta Zduńskiej Woli 1825—1925", praca zbiorowa pod red. L. Wichera, jest bardzo nieścisła i tendencyjna, poza tym bez należytego oparcia w dokumentach. Tymczasem J. Śmiałowski oparł swe badania na olbrzymiej ilości dokumentów archiwalnych.

Odtwarzając początki dziejów miasta, autor korzystał częściowo z opracowań ogólnych dotyczących historii przemysłu w Królestwie oraz z materiałów źródłowych znajdujących się w archiwach państwowych. Szczególnie przydatne okazały się akta notariuszy powiatu sieradzkiego i szadkowskiego znajdujące się w Pow. Archiwum Państwowym w Sieradzu. Trzeba tu zaznaczyć, że Józef Śmiałowski właściwie ocenił znaczenie akt notarialnych jako ważnego źródła historycznego ilustrującego problemy społeczno-gospodarcze wsi i miast XIX wieku.

Wielką szkodą dla monografii jest fakt, że nie zachowały się akta municypalne Zduńskiej Woli. Główną podstawą badań autora dla drugiej połowy XIX wieku i początków XX w. były więc akta przechowywane w archiwach państwowych Warszawy, Łodzi, Krakowa (także Zbiory Czartoryskich, Biblioteki Jagiellońskiej), Kalisza. Pewne informacje znalazły się także w archiwach zagranicznych — w Moskwie, Leningradzie i w Pradze.

W ośmiu rozdziałach monografii autor przedstawił: powstanie miasta, osadnictwo przemysłowe, przemysł włókienniczy, ludność miasta, dwa powstania, rewolucję lat 1905—1907, ogólne warunki życia miasta, wojnę 1914 roku. Uzupełnieniem pracy jest starannie wykonany indeks nazwisk.

Pierwsze pisane informacje o Zduńskiej Woli pochodzą z końca XIV wieku. Na początku XVIII wieku jej właścicielami stali się Złotniccy. W 1825 r. Zduńska Wola otrzymała prawa miejskie. Ówczesny właściciel dóbr, Stefan Prawdzic Złotnicki, zorganizował osadnictwo zagranicznych tkaczy naśladując w tym akcję rządu Królestwa Polskiego w zakresie uprzemysłowienia kraju. Przybyszom ze Śląska, Czech, Księstwa Poznańskiego, Prus i Saksonii nadawał place, sprzedawał im domy, wspierał pożyczkami. Tak zaczął się rozwój samodzielnej prywatnej osady przemysłu tkackiego prowadzonej przez dziedzica-szlachcica.

„Przemysł był motorem rozwoju przestrzennego i demograficznego miasta" — stwierdza Józef Śmiałowski. Nie można więc dziwić się, że przemysłowi, tkaczom i robotnikom fabrycznym autor poświęcił ok. 150 stron na 260 stron całej pracy. Także przedmiotem zamieszczonych w książce tabel statystycznych jest głównie przemysł i ludzie z nim związani.

Lapidarną charakterystykę zduńskowolskiego przemysłu podaje autor: „Ten przemysł począwszy od okresu po upadku powstania listopadowego aż do pierwszych lat po drugiej wojnie światowej nie był nigdy w pełnym tego słowa znaczeniu przemysłem samodzielnym. (...) W początkach XX wieku był konglomeratem kilku niewielkich fabryczek, przeważnie filii zakładów łódzkich, dużej liczby fabryczek-kantorów nakładców, i dużej, liczącej kilka tysięcy rzeszy tkaczy chałupników, z których przeważająca część nie mieszkała w mieście, lecz w okolicznych wsiach".

Z powodu uzależnienia od Łodzi nazywano Zduńską Wolę „filią" tego wielkiego miasta. To uzależnienie zapoczątkowane po powstaniu listopadowym przetrwało do czasów najnowszych. Istniały tu równolegle trzy rodzaje przemysłu: sukienniczy (z przerwą po 1831 r.), bawełniany i lniany. Najpierw w formie rzemiosła, a od końca lat trzydziestych XIX wieku w formie manufaktur, które odegrały dużą rolę w rozwoju przemysłu bawełnianego w pierwszej połowie XIX wieku. Rozwijała się także nakładowa forma wytwórczości, kupcy składnicy przędzy bawełnianej wydawali ją ręcznym tkaczom chałupnikom na kredyt, a następnie odbierali tkaniny. Działo się przy tym wiele nadużyć.

Pierwsza fabryka powstała w 1860 r., pod koniec XIX wieku pracowało 5 fabryk włókienniczych parowych.

W rozdziale dotyczącym okresu przemian wielkokapitalistycznych autor stwierdza, że od lat dziewięćdziesiątych XIX w. ożywił się znacznie przemysł, gdy w Zduńskiej Woli otwierają swe filie łódzcy fabrykanci. Tutaj mieli tańszego robotnika, zatrudniając tkaczy chałupników z miasta i jego okolic. W 1910 r. było w Zduńskiej Woli ok. 5 200 robotników pracujących w różnych zakładach przemysłowych, z tego w przemyśle włókienniczym prawie 98 proc. Ponad połowę wartości produkcji wytwarzały warsztaty chałupnicze, nakład dla chałupników organizowały kantory.

Położenie tkaczy wyzyskiwanych przez nakładców i fabrykantów było wprost tragiczne, szczególnie w okresach kryzysów. Tej sprawie poświęcił doc. Śmiałowski wiele miejsca. Robotnicy przeciwstawiając się wyzyskowi burzyli się i urządzali strajki. Taka atmosfera sprzyjała kształtowaniu się ruchu robotniczego i powstaniu partii.

Niezmiernie wartościowy jest rozdział VI: Rewolucja lat 1905—1907. Czyta się go z dużym zainteresowaniem, gdyż zagadnienie ruchu robotniczego w małych ośrodkach przemysłowych nie było dotąd przedmiotem badań historyków. Tutaj zaś zostało omówione wyczerpująco i opatrzone ciekawym komentarzem.

Rozdział VII: Ogólne warunki życia miasta — omawia następujące sprawy: finanse miasta, urządzenia komunalne, cechy i stowarzyszenia, szkolnictwo, oświatę, życie religijne, życie kulturalne. Powyższe zagadnienia, węzłowe dla dziejów każdego miasta, zostały w omawianej książce zaledwie zasygnalizowane. Czytając wiadomości dotyczące finasów miasta w drugiej połowie XIX wieku możemy zauważyć dziwny, a raczej smutny, rozkład jego wydatków, typowy dla małego miasteczka zaniedbanego pod względem urządzeń komunalnych i kulturalno-oświatowych. Koszty inwestycji komunalnych musieli ponosić mieszkańcy miasta. Miasto było nie oświetlone i nie skanalizowane, nie miało własnego szpitala. Połączenie Zduńskiej Woli z linią kolejową Łódź—Kalisz nastąpiło dopiero w grudniu 1902 roku. Żyło wówczas w tym mieście 20 500 mieszkańców.

W połowie XIX wieku Zduńska Wola miała 2 szkoły elementarne. Na przełomie XIX i XX wieku były 2 szkoły dwuklasowe miejskie i 2 pensje prywatne — uczyło się w nich razem 220 osób. autor pisze, że „niemal do pierwszej wojny światowej przygniatająca część mieszkańców pozostała analfabetami". Bardzo ciekawe są podane w książce fragmenty różnych form ówczesnego życia kulturalnego Zduńskiej Woli.

Monografia kończy się opisem stosunków panujących w okresie okupacji niemieckiej, która trwała do końca wojny.

W książce jest 48 ilustracji, ich treścią są przeważnie ludzie — głównie członkowie różnych organizacji, tkacze i sprawy ściśle z nimi związane. Samo miasto posiada tylko 7 fotografii i 4 plany. Niestety plany są nieczytelne, zbyt małe, dlaczego na połowie strony? — gdy reszta jest pusta. Autor dla ratowania sytuacji musiał zamieścić ich odręczne szkice. Nieczytelne są także dwa dyplomy tkaczy — il. X, XI.

Korekta drukarska niestaranna: zamieniono podpisy pod il. XVI, jest zamieszanie w fotokopiach XXXIII—XXXV, zrobiono 6 błędów ortograficznych w tytułach niemieckich książek na str. 10 (przypisy), na str. 11 „tenże" zamieniono na „tamże" — co wypacza sens przypisu.

Powyższe mankamenty drukarskie i pewne akcenty krytyczne nie pomniejszają wartości monografii, która jest pracą pionierską i poważnie wypełnia lukę w naszej dotychczasowej wiedzy o dziejach niewielkich miast przemysłowych. Jeżeli omawiane miasto uważało się dotąd jako miasto „nieciekawe", to obecnie zainteresują się nim nie tylko miłosnicy historii regionu. Można jedynie życzyć autorowi, żeby jak najszybciej przygotował do druku następny tom monografii Zduńskiej Woli, miasta obecnie wydzielonego i nabierającego rozmachu.

ANNA RYNKOWSKA

Centrum miasta *Fot. E. Gołąbek*

Józef Śmiałowski: Zduńska Wola. Monografia miasta do 1914 roku. Łódź 1974, stron 260, ilustr. 48. Wydawnictwo Łódzkie, cena 60 zł.

MAGAZYNEK

PTAKI TEŻ CIERPIĄ

Na parapecie okna jednego ze znanych łódzkich Reżyserów Filmowych przesiadywał całymi godzinami orzeł. Piękny ptak dumnie stroszył pióra i rozumnymi źrenicami z szacunkiem spoglądał do wnętrza mieszkania. Gdy Reżyser przystąpił do realizacji słabszego nieco filmu, orzeł posmutniał, oklapł, aż wreszcie odleciał w dal. Na jego miejscu na parapecie pojawiła się reszka.

UŚMIECH ZA UŚMIECH, KREW ZA KREW

Helmuth Pankrad z Düsseldorfu wymyślił wraz z bratem nowy rodzaju humoru. Straszą oni polskie turystki, czyniące swe skromne zakupy w Domach Towarowych. Pan Helmuth udaje wampira. Jego brat niczego nie udaje, bo nie ma zdolności, jest natomiast naprawdę wampirem. Bywa z tego dużo pisku i śmiechu a często gęsto i szklaneczka krwi też się znajdzie. Niestety, próby nakręcenia filmu o tych ciekawych ludziach uznano za nieudane, gdyż wesołych braci peszyła obecność kamery.

SZKOCKA GOSPODARNOŚĆ

Dokumentaliści szkoccy w poszukiwaniu tematu zastosowali ostatnio metodę zdjęć z ukrytej kamery. Jaki taki temat znaleziono, natomiast wyjątkowo starannie ukrytej kamery do dziś dnia nie udało się odnaleźć.

MAŁE KINO

„Najlepsze są te małe kina..." K.I.G.

GODNOŚĆ ZAWODOWA Z SZYNAMI W TLE

Pewnego razu pociąg Łódź Fabryczna — Warszawa Wschodnia przybył na miejsce opóźniony o przeszło minutę. Konduktor ob. G. Parowy nie mógł znieść takiego wstydu. Tuż po przybyciu do Warszawy wręczył wszystkim pasażerom ekwiwalent pieniężny za straty moralne, przeznaczając na ten cel własne pobory. Jadący przypadkowo Reżyser Filmowy proponował temu szlachetnemu Człowiekowi, by porzucił kolejnictwo i przeszedł do pracy w kinematografii. „Dziękuję — odparł z godnością konduktor — gdyż pracując w filmie nie miałbym powodu, by wypłacać komukolwiek odszkodowanie!" Reżyser zawstydził się i nie nalegał więcej.

MISTRZ NAD MISTRZE

W Anglii zmarł niedawno sir Adams Wolwood, ceniony aktor filmowy, znany specjalista od ról nieboszczyków. W całej Anglii nikt tak znakomicie nie udawał trupa. Ulubioną rolą zmarłego były zwłoki po wypadku drogowym. Miejscowa prasa podkreśla z uznaniem, że zmarły dopiero po śmieci wyglądał jak żywy.

ZDROWO I ELASTYCZNIE

Planowana przez czynniki Naszej Kinematografii wielka akcja pod hasłem „Kino do poduszki" nie przyniosła spodziewanych rezultatów. Okazało się, że sypialnie mają zbyt małą powierzchnię kwadratową, poza tym młode małżeństwa peszyła obecność kinooperatora. W związku z powyższym elastycznie szykuje się nową akcję, tym razem o nazwie „Poduszka do kina". Każdy widz udając się do kina, ma prawo zabrać ze sobą poduszkę, bardzo przydatną w czasie oglądania polskich filmów historycznych.

POMYŁKA I KARA

W czasie projekcji ciekawego polskiego filmu historycznego pt. „Gniazdo", na salę ukradkiem wcisnął się dwunastoletni Arek Pudeleczko. Mały urwis zmylony tytułem, pragnął wybrać z tego „gniazda" jaja. Dużo było śmiechu, gdy sprawa się wykryła a mały huncwot musiał za karę obejrzeć film do końca.

CHWILA GORZKICH ROZMYŚLAŃ

Znany estetyk sztuki filmowej Jack Sołowiej z Las Gibas, zastanawiał się głośno na wiosnę, na czym polega, że doniczka spadająca komuś na głowę z trzeciego piętra jest zdarzeniem raczej smutnym a to samo pokazane na ekranie budzi jego szczerą wesołość. I odwrotnie: jąkała w życiu śmieszy go do łez, na ekranie zaś prawie wcale. Jack Sołowiej, choć taki uczony, nie potrafił wyjaśnić tego zjawiska i tylko uśmiechał się niewyraźnie, zupełnie jakby na ekranie zobaczył jąkałę.

Fot: Archiwum

POWIĘKSZENIA

KRONIKA TOWARZYSKA

Maryla Rodowicz stłukła kolano wyprowadzając (na drzewo) swego „Porsche'a" z poślizgu. Agnieszka Osiecka doznała lekkich obrażeń.

Jak wynika z wiersza Ryszarda Marka Grońskiego opublikowanego w „Szpilkach" niektórzy twórcy zostali zaangażowani. Na pełne etaty. Ernest Bryll na placówkę w Londynie, Jerzy Passendorfer na placówkę w Wiedniu, a Wojciech Żukrowski na etat radcy ambasady w Rzymie.

CAŁUSKI

Miewający dziwne pomysły Z. K. Rogowski, współpracownik „Przekroju", specjalizuje się ostatnio w sensacyjnych doniesieniach na temat kto kogo całował w rękę. Niedawno obwieścił światu, że Tuwim pocałował w rękę Leśmiana lat temu bez mała pięćdziesiąt.

Najnowszy „Przekrój" przyniósł nową rewelację. Oto bliżej nie znany aktor Karpiński pocałował kiedyś w rękę Mieczysławę Ćwiklińską. Działo się to parę lat temu w Nowym Jorku. Reporter „Przekroju" był przy tym.

Wytłumaczenie tych bzdurek drukowanych w „Przekroju" może być tylko jedno — przejściowa fala upałów.

WSPOMNIENIA KARIN STANEK

MOJA MATURA

Kiedy zobaczył, że żadne tłumaczenia nie pomogą, prosił, abym w takim razie przyjęła choć od niego prawdziwy prezent — białego Mercedesa. Myślałam, że źle słyszę, miała to być „mała" pamiątka od niego. Skłonny był również opłacić cło, transport i wszystkie formalności, bylebym tylko przyjęła i pamiętała o nim. I cóż ja zrobiłam? — oczywiście nie przyjęłam. W grupie wszyscy śmiali się ze mnie twierdząc, że jestem zupełnie pomylona. Może?

W międzyczasie znalazł się nowy impresario, który zaproponował mi nowy kontrakt. Oczywiście nie chciałam z nim wcale rozmawiać. Miałam zostać w Ameryce zupełnie sama, nawet bez zespołu swojego? O nie! Następnego dnia załadowałam cały swój bagaż na „Batorego" i przygotowałam się do powrotu. Tymczasem obrotny impresario, doszedłszy do wniosku, że sama nie zostanę stanowczo, rozpoczął pertraktacje z kierownikiem „Czerwono-Czarnych", zaproponował wysokie stawki (dla solistów po 20 dolarów od koncertu — przedtem mieliśmy 8) i kierownik się skusił. Teraz dopiero cały zespół napadł na mnie na statku i zaczęło się: „Karin, zostań, zostań, nie wygłupiaj się, taka szansa, kupimy sobie instrumenty, itd. itp.".

Kontrakt miał być na kilka miesięcy, był już koniec kwietnia, a ja w czerwcu miałam egzaminy w szkole. Zgodziłam się, ale tylko na miesiąc. Musiałam zdążyć na egzaminy. Wszyscy pomagali znosić moje bagaże z „Batorego".

I tak oto zostaliśmy na miesiąc następnych koncertów w Nowym Jorku, a więc zespół „Czerwono-Czarni", ja, Kasia Sobczyk i Bolek Gromnicki.

Teraz dopiero miałam dużo czasu i mogłam poznać życie tego miasta. Co kilka dni przylatywał swym samolotem z Chicago Roman. Spędzaliśmy razem kilka godzin, był nadal miły i serdeczny, ale już, pomaleńku, oswajał się z myślą, że nie zostanę w Ameryce na stałe.

Tu, w Nowym Jorku, poznałam w międzyczasie młodego chłopca, też z polskiej rodziny — Ryszarda. On wprowadził mnie do swojej rodziny, u której od tej pory byłam stałym gościem. Ryszard przywoził przeróżne smakołyki, potem jeździliśmy po mieście zwiedzając wszystkie jego zakątki, po czym zabierał mnie na obiad do domu i odwoził wieczorem na koncert. Po koncercie zapoznawał mnie z nocnym życiem Nowego Jorku, wprowadzając do przeróżnych klubów, kawiarni i lokali. W nocnych klubach przyglądałam się ze zdziwieniem panującemu rozluźnieniu, ogromnej swobodzie, ludziom bawiącym się pod wpływem narkotyków. W kawiarniach oglądałam doskonale grające zespoły i, według mnie, rewelacyjnych piosenkarzy. Byłam zdumiona, że z takimi głosami śpiewają w lokalu i że nikt ich nie zna. Naprawdę wielu z nich było dla mnie rewelacją.

Któregoś dnia wybraliśmy się na koncert Ray Charlesa. Był to dla mnie i jest — niezapomniany wieczór. Większość widzów stanowili czarni. Kiedy wprowadzano na scenę niewidomego artystę — na sali rozległ się stłumiony szloch. Wstrząsający widok, sama miałam łzy w oczach. A kiedy zaczął śpiewać, siedziałam jak urzeczona. Na zakończenie biłam długie, gorące brawa wraz z całą wiwatującą widownią. Tak bardzo się cieszyłam, że mogłam obejrzeć taki koncert.

Miesiąc mijał szybko i zbliżał się czas wyjazdu. Któregoś dnia, na kolacji u rodziców Ryszarda, wyczułam dziwną, napiętą sytuację. Po chwili sytuacja ta się wyjaśniła — Ryszard chciał mnie poślubić. Prosił on i prosili jego rodzice. Było mi bardzo przykro, naprawdę szczerze przykro, ale nie mogłam się na to zgodzić. Gdyby to było w Polsce, to na pewno bym się zgodziła, ale tutaj zostać nie mogłam. Przywiązałam się szczerze do niego i jego rodziny, ale musiałam wyjechać.

Nadszedł czas odjazdu, żegnał mnie Ryszard, przyjechał również Roman — to było przykre, popłakaliśmy się wszyscy troje. „Batory odpływał, i tak jak w Gdyni, pozostawiał na lądzie tłum ludzi długo machających chusteczkami.

Od początku mojej kariery wielu krytyków na łamach prasy miało do mnie ogromne pretensje, że nie mam ukończonej szkoły średniej, że się nie uczę, że to zły przykład dla innych itd, itp. Krytykować jest bardzo łatwo, ale czy któryś z nich zainteresował się wtedy, dlaczego? Nie! Ci, którzy krytykowali najbardziej, nie interesowali się tym wcale, nie rozmawiali ze mną, cóż więc mogli wiedzieć na ten temat?

Zawsze lubiłam się uczyć i z czystym sumieniem powiedzieć mogę, że robiłam wszystko, aby zdobyć wykształcenie. To przecież nie moja wina, że nie miałam odpowiednich warunków,

że już jako dziecko musiałam pracować. Miałam pozwolić, aby matka sama pracowała ponad siły, skoro czułam, że wystarczy mi sił, aby jej pomóc? Z pewnością egoistom jest dobrze na świecie — ale ja nie chciałem takim kosztem piąć się w górę. Ciekawa jestem bardzo, czy któryś z krytykujących mnie zawzięcie redaktorów jest w stanie to zrozumieć, czy sam kiedyś to przeżywał? Pewna jestem, że każdy z nich miał normalne warunki do nauki, tzn. spokój, własny kąt, podręczniki i odpowiednią ilość jedzenia podaną w znormalizowanych godzinach. Wiem, jak to wyglądało u moich niektórych koleżanek — cisza w domu, bo dziecko musi się uczyć. Rodzice sprawdzali lekcje, pytali, czy coś pomóc, czy coś podać. Ja, niestety, tego nie znałam. Nikt nie interesował się tym, kiedy robię lekcje, czy mam jakieś trudności, jakie mam stopnie, czy trzeba mi w czymś pomóc. A cisza w domu? — to już zupełnie nie do pomyślenia, trudno zmusić do ciszy trójkę maluchów. Ale to nie wszystko. Do moich codziennych obowiązków należało sprzątanie, gotowanie, zmywanie, pranie.

Mimo tylu obowiązków, zdołałam jednak jakoś rozłożyć sobie czas i ukończyłam szkołę podstawową. Że z opóźnieniem? Tak, ale to chyba nie taka zbrodnia, biorąc pod uwagę właśnie takie warunki pracy. To opóźnienie było powodem, że kiedy rozpoczęłam pracę z „Czerwono-Czarnymi", miałam za sobą tylko szkołę podstawową. Ale teraz otwierała się przede mną droga do nauki, zarabiałam sporo, mogłam więc zapisać się do szkoły średniej. I tak właśnie zrobiłam. Nie dlatego, że mnie krytykowali, ale dlatego, że sama pragnęłam się uczyć i zdobyć wykształcenie.

Rozpoczęłam naukę w Liceum Korespondencyjnym w Szczecinie. Nie było to łatwe, trzeba było uczyć się dużo i systematycznie, a przede wszystkim samemu — to było najtrudniejsze. Nie wszystko rozumiałam z książek, a nie było profesora, który by wytłumaczył. Tego roku nie podołałam — musiałam równolegle przygotowywać się do egzaminu weryfikacyjnego, aby zdobyć dyplom piosenkarki — to była moja praca, bez której i tak nie zdołałabym utrzymać się w liceum. A więc zdecydowałam — przerwę naukę w szkole.

Egzamin weryfikacyjny, jak już mówiłam wcześniej, zdałam, więc od nowego roku szkolnego powróciłam do kalsy VIII. Od tej pory, przez następne cztery lata, nie wiedziałam co to wypoczynek. Postanowiłam za wszelką cenę skończyć liceum w terminie. Nauka nie była łatwa. Miesięcznie dawaliśmy około 30—40 imprez, to ogromnie dużo, ale z drugiej strony, gdyby nie te imprezy, to nie byłabym w stanie utrzymać siebie i rodziny. Do tego wciąż musiałam myśleć o repertuarze, próbach, nie mogłam stale śpiewać tych samych piosenek.

„24 godziny, z których składa się doba, to było dla mnie mało, cierpiałam na chroniczny brak czasu. Kiedy miałam się uczyć? Na normalnej trasie wykorzystywałam wszystkie możliwości czasowe do nauki, a więc jazdę autokarem, oczekiwanie w garderobie na swój występ, czasem noc, jeśli gonił mnie termin. A musiałam co kwartał wysyłać z każdego przedmiotu prace, był wyznaczony termin, którego nie można było przekroczyć. Wolne dni od koncertów rzadko spędzałam w domu. Jechałam przeważnie do Szczecina, gdzie pobierałam korepetycje z przedmiotów niezrozumiałych dla mnie, trudnych. W tym czasie nadrabiałam wszystkie zaległości, po kilku korepetycjach wszystko stawało się proste, jasne, łatwe, bez problemów. Kilka minut — i miałam opanowany problem, nad którym męczyłam się sama tyle czasu. Jak łatwo się uczyć, kiedy jest ktoś, kto wszystko wytłumaczy. Trudno samemu zrozumieć wiele zagadnień z fizyki, chemii czy matematyki.

Oprac.
A. KRYSZKIEWICZ

wielki wybór

ARTYKUŁÓW SZKOLNYCH

NIE CZEKAJCIE NA OSTATNI DZWONEK!

JUŻ DZIŚ HDD

POMOŻE CI WYPOSAŻYĆ DZIECKO DO SZKOŁY

ZAPRASZAMY

do HANDLOWEGO DOMU DZIECKA

przy ul. PIOTRKOWSKIEJ 60/62

codziennie w godz. 8–20

4274-k

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch" — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28. Zam. 1922. C-14. Nr indeksu 37006.